WTOREK
Nr 21 13 IV 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Strzał w dziesiątkę!

SPÓŁDZIELCZA ELEKTROWNIA WODNA

(PAP). Rolnicy ze wsi Ugory koło Kamienia Pomorskiego zawiązali niecodzienną spółkę. Gromadzi ona pieniądze uzyskiwane z opodatkowania zainteresowanych gospodarstw w celu uruchomienia własnej elektrowni wodnej.

W woj. szczecińskim było kiedyś 65 małych elektrowni; obecnie czynne są tylko trzy. W wyniku inwentaryzacji i ekspertyz stwierdzono, że dwadzieścia nadaje się do odbudowy i dalszej eksploatacji. W pierwszej kolejności podjęte zostaną prace związane z uruchomieniem małych elektrowni o mocy od 12 do 170 kilowatów; mamy nadzieję, że rzecz całą uda się doprowadzić do szczęśliwego finału przed nowym szczytem jesiennym.

Lotnia Rogallo, to właściwie szkielet z czterech odpowiednio wytrzymałych rurek duralowych pokryty dakronową tkaniną, dotąd używaną głównie na żagle. Jednak miękkopłaty, a lotnie Rogallo w szczególności, mogą być używane do latania „z górki" – z rozbiegu na stoku zbocza. Latać na nich na płaskim terenie raczej nie można, a to głównie z powodu trudności jakie wtedy występują przy starcie. Start za samochodem dla lotni Rogallo jest bardzo niebezpieczny, ponieważ w czasie holowania tracą one na sterowności. Stąd właśnie obserwuje się powrót do szybowców szkieletowych o dość uproszczonej konstrukcji. Takich szybowców, które by się dały łatwo składać i przewozić na wózku ciągnionym nawet przez lżejszy samochód osobowy – i które dałyby się też tym samym samochodem wyholować na pewną wysokość. Ponadto od takiego szybowca wymaga się możliwości wykonywania na nim nawet kilkugodzinnych lotów i to w nienadzwyczajnych warunkach atmosferycznych. O tym szybowcu, zbudowanym w Politechnice Warszawskiej, przeczytacie na stronie 4.

CZY OCEANY ROSNĄ?

Naukowcy radzieccy zaobserwowali zjawisko rozszerzania się granic oceanów. Swoistym rekordzistą jest Ocean Spokojny – roczne tempo zwiększania wymiarów liniowych jego dna wynosi kilkanaście centymetrów. Najwolniej rozszerza się Ocean Lodowaty Północny. Takie ruchy tektoniczne obejmujące także kontynent zachodzą głównie wzdłuż podmorskich łańcuchów górskich.

Dynamikę zmian granic oceanów uwidacznia mapa wykonana przez fachowców z leningradzkiego oddziału Instytutu Magnetyzmu Ziemi, Jonosfery i Rozchodzenia się Fal Radiowych Akademii Nauk ZSRR.

(APN)

Żołnierska pomoc gospodarce

Zapotrzebowanie naszej gospodarki na surowce wtórne zawsze było duże, a w obecnej sytuacji jeszcze wzrosło. I w tej dziedzinie przyszli z pomocą żołnierze współuczestnicząc w gromadzeniu i efektywnym zagospodarowaniu surowców wtórnych. Np. żołnierze Pomorskiego Okręgu Wojskowego w ub. r. do punktów skupu przekazali m. in. blisko 3,3 tys. ton złomu stalowego i około 330 ton żeliwa oraz przeszło 250 ton metali nieżelaznych, 400 ton makulatury i 200 ton gumy.

W akcji zbiórki cennych dla gospodarki kraju surowców szczególnie aktywnie uczestniczą żołnierze jednostki Obrony Wybrzeża, 12 Dywizji Zmechanizowanej im. Armii Ludowej oraz Wyższej Oficerskiej Szkoły Samochodowej im. gen. A. Waszkiewicza w Pile.

(r)

STATKI SPOD ZIEMI

W centrum zachodnioniemieckiego miasta Moguncja zaczęto budować hotel. W trakcie robót przy fundamentach robotnicy nieoczekiwanie natknęli się na... drewniany statek. Po pierwszym pojawił się drugi i trzeci, aż wreszcie odkopano całą flotyllę złożoną z siedmiu statków. Wydarzenie było zdumiewające. Badania wykazały, że statki zostały zbudowane przez starożytnych Rzymian przed około 1600 laty. Drewno zgniło już, ale zachowało się wiele przedmiotów użytkowych, wyrobów zdobniczych i wyposażenia statków.

Ze znaleziska można było wywnioskować, że już wtedy, w odległej przeszłości statki dzieliły się na pasażerskie, handlowe, okręty wojenne i barki. **(jz)**

PLAZMOTRON dla malarza i budowniczego

Za jego pomocą można zmienić strukturę powierzchni konstrukcji betonowej i nadawać jej rozmaite barwy. Skonstruowali go pracownicy Leningradzkiego Instytutu Naukowo-Badawczego Prądów Wysokiej Częstotliwości. Żadna farba nie może się równać – gdy chodzi o trwałość – z powłoką plazmową. Ściany budynków, wyprawione tym nowym sposobem, są nadzwyczaj odporne na działanie wody, światła słonecznego i wiatrów. **(APN)**

PODZIEMNE JEZIORA NA MARSIE SĄ, CZY ICH NIE MA?

USA (PAP). Badania powierzchni Marsa metodami radiolokacyjnymi dostarczyły danych pozwalających na wysunięcie hipotezy o istnieniu na tej planecie dużych zasobów wody. Zdjęcia wykonywane przez różne marsjańskie sondy i ostatnio przez „Wikingi" nie wykazały wprawdzie żadnych jej śladów, ale być może – jest ona ukryta pod marsjańskimi piaskami. W okresie marsjańskiej zimy zamarza, ale latem może w niektórych rejonach odmarzać. Dotychczasowe sondaże radarowe wykazały istnienie na powierzchni Czerwonej Planety kilku miejsc, gdzie mogą występować „podziemne jeziora".

W Ostrzeszowie odbyły się tradycyjne wiosenne biegi przełajowe, w których, na różnych dystansach, startowało 1700 zawodniczek i zawodników. Na zdjęciu: chłopcy – uczniowie klas IV-tych na trasie biegu na 1250 metrów

● LIGA REPORTERÓW ●

Witam!

Czy zdecydowałeś się już zabrać głos w nowej dyskusji Ligi Reporterów, której hasłem wywoławczym jest przysłowie:

BEZ PRACY NIE MA KOŁACZY

Znasz ludzi, którzy słyną z rzetelnie wykonywanej pracy? Napisz o nich!

Mogą to być przedstawiciele wszystkich zawodów, pracujący na różnych stanowiskach. Robotnicy, rolnicy, inżynierowie odznaczający się przedsiębiorczością, zdolni i oddani, pomysłowi i ambitni. Słowem ludzie, których warto by poznali inni Czytelnicy „Świata Młodych".

Nie zwlekaj, chwyć za długopis. Listy wysyłaj do red. „Świata Młodych" z dopiskiem na kopercie Liga Reporterów „Bez pracy nie ma kołaczy".

Oczekujący na Twój głos w dyskusji

Szef Ligi Reporterów

BOBOWA Z KORONEK SŁYNĄCA

W XIX-wiecznej encyklopedii można znaleźć takie wiadomości o miasteczku Bobowa w woj. nowosądeckim: *„Licha mieścina, znana wokoło z wyrobów swych koronkowych, cała bowiem ludność niewieścia zajmuje się tą robotą..."*

Mistrzynie koronkarskich cudeniek od wieków wykonują je metodą klockową. Warto dodać, iż jedynie w tej miejscowości oraz w okolicznych wsiach ta stara sztuka rękodzielnicza przekazywana jest jeszcze z pokolenia na pokolenie. Istnieje tam „cepeliowska" Spółdzielnia Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Koronka", która niezadługo obchodzić będzie 30 lat swojej koronkarskiej działalności.

Sławą największej mistrzyni koronkarstwa cieszy się **Anna Zięba** ze wsi Stróżna. Talentem niewiele jej ustępują **Janina Bawołek** z Siedlisk i **Genowefa Święs** z Brzany.

(r)

Dzieci Nagasaki

Hiroszima, Nagasaki... Te dwa japońskie miasta kojarzą się wszystkim z jednym z największych w historii ludzkości nieszczęść – nieszczęść, których sprawcą był sam człowiek. Na otwartej w warszawskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki wystawie fotograficznej Tadeusza Sobieraja pt. „Dzieci Nagasaki" – jest wszystko. Kalectwo i cierpienie, radość, uśmiech i łzy. To prawda, że ich los łagodzi opieka ze strony państwa, kościoła, instytucji charytatywnych i bezimienna pomoc ludzi życzliwych, ale przecież zdrowego, pogodnego dzieciństwa nic im już ani nie wróci, ani nie zastąpi.

Z katalogu IV światowej wystawy fotograficznej pt. „Dzieci tego świata", o której „ŚM" pisał w ub. roku wybrałem kilka myśli:

– *„Nie będzie ani wielkich odkryć, ani prawdziwego postępu, dopóki na świecie żyć będzie choć jedno nieszczęśliwe dziecko" (A. Einstein, fizyk, myśliciel, laureat nagrody Nobla)*

– *„Dzieci... mogą się stać czynnikiem jednoczącym świat rozdarty przez przerażający, tępy nacjonalizm" (J. Nehru, premier, wybitny hinduski polityk)*

– *„Popełniamy wiele pomyłek i wiele błędów, lecz naszym najcięższym grzechem jest to, że zaniedbujemy dzieci, źródło naszego życia. Wiele rzeczy, których potrzebujemy, może poczekać. Dziecko nie może czekać. Nieustannie budują się jego kości, nieustannie tworzy się krew, rozwijają zmysły. Dziecku nie możemy powiedzieć: „Jutro". Jego imię jest „Dzisiaj". (Gabriela Mistral, chilijska poetka, laureatka literackiej nagrody Nobla).*

Jak bardzo te mądre, prawdziwe myśli nie utraciły na swej aktualności...

Tekst i reprod.
WŁ. BARCHACZ

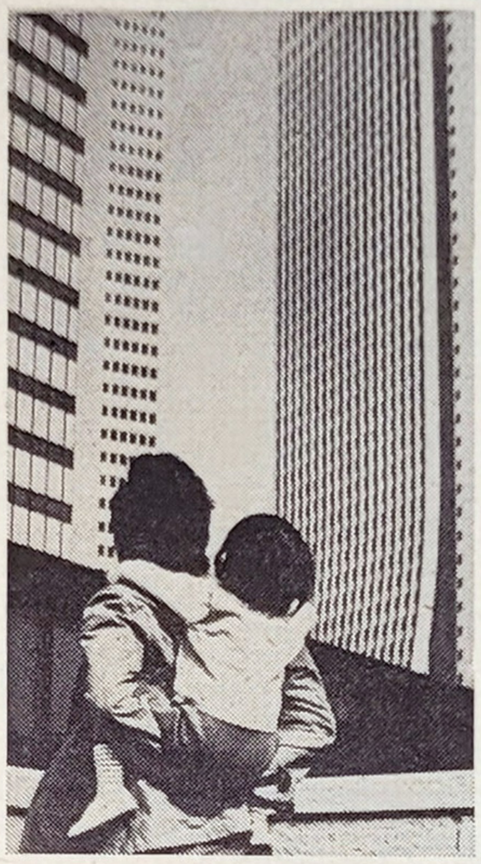

Gdy byłam całkiem mała...

Kiedyś, gdy byłam jeszcze całkiem mała, w ostatni dzień karnawału ulice mojego miasteczka zapełniały się przebierańcami. Były to głównie dzieci i młodzież, choć trafiali się i dorośli. Bardzo śmiesznie poprzebierani tworzyli barwne korowody, często towarzyszyła im harmonia lub mandolina. Były to tzw. „Bekusy". Przebierańcy wędrowali od domu do domu, śpiewali dowcipne piosenki, sypali humorystycznymi wierszykami, w zamian za to ludzie nagradzali ich czym się dało. A to wpadło do ich sakiewki parę groszy, a to w koszyku znalazło się jajko.

Była to świetna zabawa! W ten sposób, na wesoło i kolorowo kończył się w moim miasteczku karnawał. A dziś zwyczaj ten zanika już prawie zupełnie, choć czasem jeszcze można zobaczyć pojedynczego „Bekusa". A przecież tradycje trzeba podtrzymywać.

W myśl tego w ostatni tegoroczny karnawałowy dzień nasza klasa IIIb LO postanowiła się nieco zabawić – właśnie w stylu „Bekusów". Jedna połowa klasy ubrana była całkowicie na biało i tylko na rękach miała czarne rękawiczki, zaś druga odwrotnie – na czarno, z białymi rękawiczkami na rękach. Na plecach mieliśmy przypięte duże, własnoręcznie wykonane z kartonu tarcze naszego LO. Zabawa była doskonała. Nasza klasowa poetka, Jadzia, ułożyła prześmieszny okolicznościowy wierszyk. Zaprezentowaliśmy mini-programik dyrektorowi, naszej wychowawczyni i profesorom. Nasz pomysł przyjęli życzliwie. A potem były jeszcze zdjęcia robione na równoważni w sali gimnastycznej. Bawiliśmy się wspaniale, a przy tym podtrzymaliśmy startą jak świat tradycję naszego miasteczka, o której po prostu zapomina się.

Tyle jest pięknych obyczajów w naszym kraju, a okrywa je cień zapomnienia. I trzeba byłoby popytać dziadków, poszperać na strychach, wśród książek i starych kufrów i wydobyć na światło dzienne piękne, stare polskie zwyczaje.

Anka Barwińska
ul. Zielona 15
39-100 Ropczyce
woj. Rzeszów

OD REDAKCJI: Nic dodać, nic ująć. Pomimo że karnawał dawno się zakończył, list Anki drukujemy gwoli przypomnienia o zwyczajach w ogóle, nie tylko tych związanych z karnawałem. (bs)

REDAKCYJNA POCZTA

Jej obojętność doprowadza mnie do rozpaczy

Jestem uczniem III kl. I.O. Wszystko zaczęło się od pierwszego dnia roku szkolnego. Jak co roku, przychodzą do naszej szkoły pierwszoklasiści, lecz nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się coś podobnego. Zobaczyłem ją i koniec. Już tyle czasu upłynęło od tego pierwszego dnia, a ona nie ma pojęcia, że darzę ją tak głębokim uczuciem. Próbowałem kilka razy porozmawiać z nią poważnie, ale nic z tego nie wyszło. Chciałem nawet obrazić się na nią za byle głupstwo (z tej bezsilności), lecz doszedłem do wniosku, że ucierpiałbym jedynie ja. W moim przekonaniu poniżam się, bo choć czuję jej obojętność, nie mogę sobie pozwolić na zerwanie z nią kontaktu. Jednak nie chcę być natrętny, nie chcę niczym zrazić tej dziewczyny. Proszę, pomóżcie mi. Wydrukujcie mój list, może to ją przekona i zmieni jej stosunek do mnie.

Zakochany Jacek

Wszystkich drażnią zęby mojego chłopaka

Chodzę z Markiem i jesteśmy bardzo szczęśliwi. Koleżanki i koledzy z klasy nie dają mi żyć. Ciągle śmieją się ze mnie, że wybrałam sobie na chłopaka „zająca". Powodem tych drwin jest fakt, iż Marek ma bardzo wystające zęby. Czy to jego wina? Mnie to nie przeszkadza. Podoba mi się taki, jaki jest. Cóż więc to obchodzi innych? Jakim prawem starają się obrzydzić mi tego chłopaka? Już jestem u kresu wytrzymałości. Nie potrafię spokojnie reagować na te ciągłe dokuczania. Czekam na pomoc od czytelników.

Magda

Każdy sposób na ładne pisanie – mile widziany!

Zwracam się do Ciebie, redakcjo i do Twoich czytelników z prośbą o radę – jak nauczyć się ładniej pisać. Wszyscy w domu, w szkole i wszędzie dokuczają mi z powodu mojego pisma, którego nie mogę zmienić. Podobno piszę bardzo brzydko. Uczę się średnio, lecz moje pismo obniża mi stopnie ze wszystkich przedmiotów. Próbowałam już wszystkich znanych mi środków. Nie pomogły. Doradźcie mi coś, bo zaczynam się załamywać.

Aśka

OD REDAKCJI: Charakter pisma kształtuje się w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Gdy wówczas nie podchodzi się do tej sprawy z należytą starannością, na skutki nie trzeba długo czekać. Takie straty są ciężkie do odrobienia, choć nigdy na nic nie jest za późno. Nie wiemy, jakich sposobów próbowałaś. Proponujemy Ci założenie zeszytu do kaligrafii i rzetelną pracę nad każdą literką z osobna. Twoje pismo nie jest wcale takie tragiczne, sprawia tylko wrażenie, jakbyś pisząc, zanadto się spieszyła. Może wystarczy trochę zwolnić tempo? Rozważ to. Chcemy przy okazji prosić innych czytelników, aby wypowiedzieli się, jakie znają sposoby na poprawę charakteru pisma. Wydrukujemy je z nadzieją, iż niejednemu pomogą. Będzie to pomoc i dla nas, bo z przykrością stwierdzamy, że niektóre listy od czytelników z trudem rozszyfrowujemy.

(mm)

Spotkania

DO „OPORNYCH"

Przyszła ich do mnie siódemka. Siódemka siódmoklasistów, którzy zdecydowali się wpiąć w swoje szkolne ubrania maleńkie kolorowe przedmiociki. Przedmiociki – symbole. Dlaczego? Jakie to ma dla nich znaczenie? Z kim lub z czym chcą się utożsamić? Przeciw komu lub przeciwko czemu zaprotestować?

Gdy zadawałem te pytania, z rozmowy wycofała się Bożena, stwierdzając, że spięła tym tylko rozchylającą się za mocno bluzkę. Jacek przyznał, że nosi to, bo popiera... ale nie odezwał się więcej do końca rozmowy. A reszta?

Bo nosi to coraz więcej osób. Bo dał mi kolega z technikum. Bo brat jest na studiach i u nich też to noszą. Oprócz tego powtarzały się słowa o poparciu, o walce. O poparciu mądrych działań zawieszonych związków, o walce o prawo do własnych poglądów.

I pytania. *Czy jest tak dobrze, że nie ma o co już walczyć? Dlaczego na lekcjach historii pani nie mówi nam wszystkiego? Czy Sierpień 80 był czymś dobrym czy złym?*

Każde dziecko reprezentuje poglądy swoich rodziców. Ja wierzę moim. Wierzę, że mają rację, bo patrzą na wszystko obiektywnie – usprawiedliwiał się Franek.

Trochę jest to działanie emocjonalne, trochę naśladownictwo – dodała Agnieszka.

– *To nie jest chęć walki, to tylko wyrażanie swej niezgody na zło* – wyjaśniał Tomek.

Młodzież szkolna zawsze starała się coś zrobić – podsumował Paweł.

Próbowałem im odpowiedzieć. Mówiłem o pochopności ocen, o wiarygodności źródeł, o uwarunkowaniach i konieczności. O tym, że to jakim jestem, powinno być widoczne w tym, co mówię i co robię, a nie w symbolach, z którymi się obnoszę. Że ich pierwszoplanowym zadaniem...

Gdybym był pełnoletni, nie skończyłoby się na ulotkach... – powiedział jeden z ósmoklasistów, których trójka zjawiła się u mnie jeszcze tego samego dnia.

Socjalizm to dobry ustrój – kontynuował – *ale... kto żyje w Polsce uczciwie, ma bardzo mało.*

Teraz było ostrzej. O podwyżkach cen. O więzieniach. O złodziejstwie. O propagandzie. O historii. Wszystkie argumenty odbijały się o totalną piętnastoletnią negację – gazety kłamią, telewizja opowiada bajki, nagrania były spreparowane. Wiary nie można obalić rzeczowymi argumentami. Jest od nich silniejsza. Ale skąd się wzięła?

„Oporni". Są wśród nas. A może w moich rozmówcach poznajecie i siebie samych. Co tak, a nie inaczej ukształtowało wasze poglądy? Czy nigdy się nie zmieniały? Czy wierzycie, że nigdy się nie zmienią?

Oporniki, po które sięgnęliście za dorosłymi jako po symbol waszej postawy, włączone w obwód elektryczny zmieniają jego oporność, zmieniają opór stawiany przepływowi prądu. Co kształtuje wasz opór w realistycznym odbiorze rzeczywistości, w budowaniu nadziei na ogólnonarodową ugodę, w wierze w tę naszą wspólną szansę?

Czy o tych ważnych sprawach rozmawiacie tylko w swoim gronie? Czy uczestniczycie w rozmowach rodziców? Czy próbujecie podjąć taką tematykę w szkole? W tej, w której ja odbyłem opisane na wstępie rozmowy, ma dojść z uczniowskiej inicjatywy do publicznej dyskusji – z udziałem uczniów i nauczycieli – o polskim dniu dzisiejszym. I fakt, że do takiej – miejmy nadzieję – szczerej rozmowy dojdzie, jest dla mnie ważniejszy od tego, czy wpłynie ona na radykalną zmianę czyichś poglądów.

Dziś trzynasty kwietnia, a nasza rozmowa jest trzynastą z kolei od tamtej pierwszej, listopadowej. Może dlatego rozmawia się nam tak trudno... Ale skoro nie pominąłem milczeniem błahej choć popularnej „magicznej kostki", nie mogłem przejść obojętnie obok nowego znaczącego choć drobnego rekwizytu naszej codzienności, mimo że opornikowy temat może wzbudzać czyjeś opory. Chciałbym w waszych listach odnaleźć potwierdzenie lub podważenie mojej decyzji. Chciałbym, żebyście zaczętą przeze mnie rozmowę kontynuowali.

Może przyda się w niej fragment poetyckiego „Listu otwartego do rówieśników" waszej koleżanki Lidii Alicji Urbańskiej, który wyciąłem kiedyś z jakiegoś tygodnika:

„codziennie z naszego wspólnego drzewa
odpadają chore liście złudzeń
zbieramy je ostrożnie
sadzimy na
szlaku podróży
i wierzymy, że
wyrośnie dorodny las
grzmiący żywiczną radością".

A pora na sadzenie lasu nadchodzi...

Jarek

Załatwić z samym sobą

GRA W KRĘGLE

Kiedy zaczyna się wiosna, ciągnie człowieka do lasu. Wybraliśmy się więc z przyjaciółmi na wycieczkę do Puszczy Kampinoskiej. Dzień jest piękny, słoneczny, ludzi spotyka się niewielu. Jeszcze cienkie tafelki lodu kryją rankiem rozległe rozlewiska, uwięzione w lodzie zielone plamki rzęsy wodnej wyglądają jak witraże. Jeszcze nic nie kwitnie, ale czuje się wiosenne ożywienie w społeczeństwie ptasim. Przysiedliśmy na piaszczystej wydmie, podglądając uwijającego się po pniu sosny dzięcioła. Cisza, spokój, relaks, odprężenie.

Zza zakrętu ścieżki ukazuje się gromada dzieci. Może drużyna zuchów z druhną drużynową, może klasa z panią wychowawczynią – trudno rozpoznać. Idą wprost na nas, jak na tak liczną grupę nawet mało hałaśliwie. Dwóch chłopców na nasz widok dopada osłony krzaków i celuje z patyków-karabinów: trata-ta-ta.

Widzę oczy malca utkwione we mnie, słyszę to tra-ta-ta i robi mi się dziwnie zimno w środku. Wiem, że to zabawa, wiem, że to oczywista potrzeba chłopięcego wieku, ale ten lodowy sopelek tkwi we mnie. Idiotyczne, przykre uczucie, że mnie trochę ubyło. Mam żal do druhny drużynowej lub pani wychowawczyni za pobłażliwy, trochę rozbawiony uśmiech. Dzieci forsują wydmę i znikają w głębi lasu.

Wojna to dla nich zabawa, taka gra jak w kręgle. Ten, kto strąci jedną kulą więcej kręgli – wygrywa. Uświadamiam sobie nagle, że ten las to była przed laty upiorna kręgielnia. Ludzi ustawionych szeregami kładziono sprawnie seriami z karabinów. Trwało tak długie lata.

Idziemy przez puszczę, już nie wiosenną, relaksową. Tu zabliźniona blizna okopu, tam porośnięte drzewami stanowisko karabinu maszynowego i cmentarze. Tych, którzy zginęli w walce i tych, którym nie było dane bronić się. Małe skupiska mogił sypanych tam, gdzie ludzie padli w walce, ukryte w gęstwinie drzew, z daleka od uczęszczanych szlaków i Palmiry – wielki ogród wyrastających z ziemi krzyży.

Chodzą ludzie ścieżkami między kwaterami trochę jak po muzeum, trochę jak po parku. Patrzą: ten miał lat 23, a ten tylko 19, ci wszyscy zginęli jednego dnia, ilu ich było – siedemdziesięciu, a tych czterdziestu pięciu... Daty, liczby, nazwiska, stopnie – to się da policzyć, a może i zapamiętać. A czy ktoś potrafi przywołać z niepamięci strach, to ostatnie uczucie przerwanego nagle życia? Albo uczucie przeraźliwego zimna o świcie w jesiennym deszczu, przed potyczką z przeważającą siłą wroga?

W Pradze otwarto w marcu wystawę zatytułowaną „Polskie Lidice". Lidice to czeska wieś spacyfikowana przez hitlerowców. Mężczyzn od lat 15 rozstrzelano, kobiety wywieziono do obozu koncentracyjnego, dzieci do Niemiec, zabudowania spalono. Lidice stały się symbolem hitlerowskiego okrucieństwa, jaskrawym przykładem ludobójstwa. Na wystawie polskich Lidic pokazano czterdzieści.

Kiedyś, przed laty zwiedzaliśmy z grupą harcerzy Oradour, francuską wieś, którą spotkał los Lidic. Nikt tam nie mieszka – postarzałe domy z pustymi oknami, wewnątrz resztki rozpadających się sprzętów, jakieś metalowe łóżko straszące powyginanymi, zardzewiałymi prętami, martwe ulice mają być utrwalonym krzykiem protestu przeciw wojnie, przeciw okrucieństwu, przeciw śmierci. Na kościele tablice, dalej mauzoleum z pamiątkami po pomordowanych.

– Druhno! – szepnął do mnie któryś z harcerzy – gdybyśmy chcieli pokazywać światu w ten sposób wszystkie polskie miejscowości podobnie potraktowane przez wojnę, nie byłoby gdzie mieszkać w naszym kraju.

Tylko tu, w Puszczy Kampinoskiej w odwet za działalność partyzancką hitlerowcy spacyfikowali dwie wsie – Borzęcin i Sieraków, a 20 wiosek spalili.

Co najmniej połowa polskiego społeczeństwa urodziła się po wojnie. Coraz rzadziej zna się ją z opowieści tych, którzy walczyli i przeżyli. Pamięć o niej oddala się, odchodzi w historię. Uczymy się: bitwa pod Grunwaldem – 1410, insurekcja kościuszkowska – 1794, I wojna światowa – 1914, II wojna światowa – 1939, powstanie warszawskie – 1944. Oglądamy filmy: zabawne komedie wojenne i ponure dramaty. Wolimy komedie, dramaty nas nużą. Przejadły się. Zbyt często – mówimy – musimy je oglądać. Po co się nam to stale przypomina? To się robi nudne.

– To się robi nudne – mówi dziewczyna do ojca. Spacerują w Palmirach między długimi rzędami mogił. – Czy musisz studiować każdą tablicę?

– To się robi nudne – pomyślał być może hitlerowski żołnierz wracający z egzekucji ludzi, których odesłał w historię. Ginąc wierzyli, że świat zrobi wszystko, absolutnie wszystko, by nikt już tak umierać nie musiał. Jeśli więc mamy zrobić wszystko – bo to przecież my, żyjący dziś, kształtujemy lub kształtować będziemy losy świata – musimy pamiętać. Nie tylko daty i liczby, ale i strach, zmęczenie, rozpacz, tęsknotę, miłość, nienawiść – wszystko. W trwodze, by nam samym nie było dane w taki sposób przechodzić do historii, mądrzej być może będziemy urządzać ten świat. Warto to przemyśleć z samym sobą. A jest właśnie kwiecień – miesiąc pamięci narodowej.

EWA DROBNIK

Na przedpolach Gdyni

BUŁGARSKI STUDENT PETKO TANCZEW WALCZYŁ W SZEREGACH 1 BRYGADY PANCERNEJ IM. BOHATERÓW WESTERPLATTE

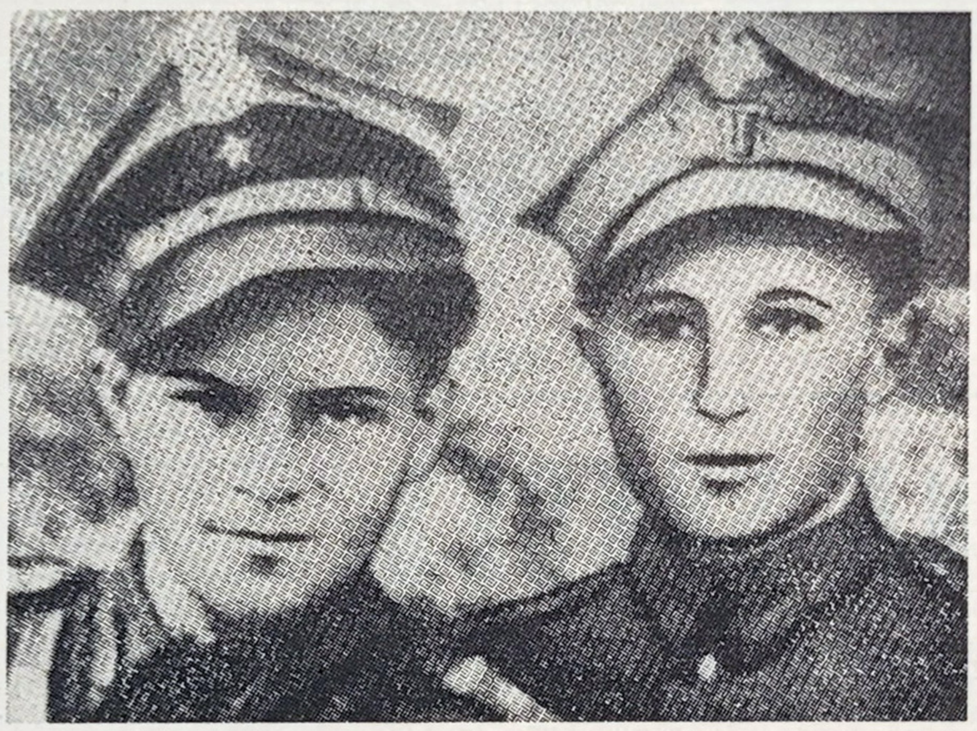

Historyczne zdjęcie Petki Tanczewa (z prawej) z zastępcą dowódcy kompanii czołgów ppor. Kazimierzem Zawadzkim

Stoimy przy nasypie kolejowym. Jest marzec 1982 roku. Obok nas biegnie droga łącząca Kack z Redłowem. Przed nami, za szosą Gdynia–Gdańsk, ogródki działkowe. Daleko, na morenowych zboczach domy, których przed trzydziestu siedmiu laty jeszcze tutaj nie było.

– Czołgi 1 Brygady Pancernej imienia Bohaterów Westerplatte walczące w składzie 2 Frontu Białoruskiego przyszły stamtąd. Jak ta droga – druh Zbigniew Żochowski zatacza ręką szeroki łuk. – Przyszły po stoczonych ciężkich bitwach pod Janowem, pod Wielkim i Małym Kackiem. A na wzgórzach morenowych betonowe bunkry ziały artyleryjskim ogniem, powodując ciężkie straty. Czołgi schroniły się po tamtej stronie nasypu. I wtedy u swego dowódcy zameldował się ładowniczy czołgu Petko Tanczew. Poprosił o pozwolenie zniszczenia bunkrów wiązkami granatów. Zgłosiło się również do tej akcji dwóch saperów – dowódca plutonu saperów sierżant Władysław Jackowski i starszy saper Kazimierz Maciejewski.

Obładowani granatami żołnierze czołgali się ostrożnie wzdłuż rowu. Obserwowało ich dowództwo 3 batalionu i dowództwo 2 kompanii czołgów, w której służył Tanczew. Szczęśliwie dotarli do wzgórza. Niedostrzeżeni przez wroga pokonali zasieki. Wiązki granatów wrzucane przez strzelnicze otwory unieszkodliwiły działa. Bunkry milkły jeden po drugim.

Wycofywali się tym samym rowem. Kiedy usiłowali przebiec jezdnię, skosił ich karabin maszynowy. Przypuszczamy, że zauważono ich z bunkra, który do chwili obecnej istnieje na działkach. Pyta druhna jak trafiliśmy na historię Tanczewa...

W 1969 roku uczestniczyliśmy w akcji hufca pt. „Na tropie bohatera". Moi harcerze z 2 drużyny „Watra" im. gen. Mariusza Zaruskiego, penetrując w Urzędzie Miejskim listy poległych, stwierdzili, że w walkach o wyzwolenie Gdyni poległ śmiercią bohatera student bułgarski, Petko Tanczew. W tym samym czasie w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym" ukazała się relacja byłego zastępcy dowódcy kompanii czołgów, ppor. rez. Kazimierza Zawadzkiego, w której to kompanii służył Tanczew. Nawiązaliśmy kontakty z Ambasadą Bułgarską, pisaliśmy listy do Bułgarii, odszukaliśmy żyjących kolegów Tanczewa z 2 kompanii czołgów. Dowiedzieliśmy się, że Petko Tanczew, student uniwersytetu w Sofii, należał w okresie II wojny światowej do tajnej antyfaszystowskiej organizacji. Aby uniknąć aresztowania Tanczew w 1943 roku przedostał się do Jugosławii, by wstąpić do partyzantki dowodzonej przez Józefa Broz-Tito. W Jugosławii aresztowano go i wywieziono na teren Niemiec do obozu koncentracyjnego. W 1944 roku Petko Tanczew wraz z Polakiem – Stefanem Zarębą uciekli z obozu i dotarli do Polski aż pod Radzymin. Tu bułgarski student zgłosił się do dowództwa 1 Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Przydzielono go do 2 batalionu czołgów i Bułgar z całą brygadą ścigającą wroga dotarł na przedmieście Gdyni.

Kiedy zebraliśmy obszerny materiał – wystąpiliśmy do władz miasta Gdyni o specjalne uhonorowanie Petki Tanczewa i dwóch polskich żołnierzy. Uważaliśmy, że w pobliżu miejsca, w którym zginęli, powinien stanąć pomnik...

Dopięliśmy swego. W 33 rocznicę wyzwolenia Gdyni nastąpiło uroczyste odsłonięcie obelisku poświęconego pamięci trzech bohaterów.

WIESŁAWA MROCZEK

Fot. kolor **M. Szymański**
cz.-b. **archiwum**

Adam Błaszczak z Młodzieżowego Klubu Turystycznego PTTK „Watra" poprawia wieniec pod obeliskiem

To jest przypuszczalnie bunkier, z którego strzelano do wycofujących się trzech bohaterów. Druh Zbyszek uważa, że mógł tu stać czołg lub działo

- **CZY UMIESZ GOSPODAROWAĆ SWOIMI PIENIĘDZMI?**
- **CZY JESTEŚ OSZCZĘDNY?**
- **CZY NA WAKACJE JEŹDZISZ ZA ZAROBIONE PRZEZ SIEBIE ZŁOTÓWKI?**

Jeśli tak nie jest, najwyższy czas pomyśleć o wstąpieniu do Szkolnej Kasy Oszczędności!

Sztuką jest oszczędzać! Sztuką jest wydawać!

Jest ich w Polsce 12.913. Szkolne Kasy Oszczędności. Wkłady pieniężne zgromadzone przez uczniów na książeczkach SKO sięgają 746,4 mln złotych. Kawałek grosza!

Fakt należenia do SKO zobowiązuje nie tylko do regularnego wpłacania złotówek na książeczkę. Równie ważnym zadaniem SKO jest wyrobienie u Was, młodych nawyku zarabiania pieniędzy własną pracą oraz nauczanie racjonalnego gospodarowania złotówkami.

Stąd w programie działania SKO znalazły się przeróżnego rodzaju akcje dochodowe: np. zbiórka surowców wtórnych, pomoc przy żniwach i wykopkach, zbiórka runa leśnego, hodowla drobnego inwentarza, uprawa warzyw, roślin ozdobnych, zakładanie pasiek itp. Poza tym członkowie SKO biorą czynny udział w pracach społecznie użytecznych na rzecz szkoły i środowiska. Rywalizują między sobą w konkursach na plakaty, gazetki ścienne, imprezy artystyczne związane z tematyką oszczędzania. Biorą także udział w spotkaniach z pracownikami banków spółdzielczych. Właśnie banki spółdzielcze objęły patronat nad działalnością SKO.

Pierwsze spotkanie z SKO ma miejsce zazwyczaj na początku roku szkolnego, kiedy to każdy z pierwszoklasistów, otrzymuje książeczkę SKO z symbolicznym wkładem pieniężnym. To na dobry początek. Co roku też, od października do kwietnia trwa Ogólnopolski Konkurs SKO. Niedługo poznacie laureatów tegorocznego.

„Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym dopokąd...” wynalazkiem

Był czas – w początkowym okresie rozwoju polskiego lotnictwa – kiedy student specjalności lotniczej, mając już w kieszeni dyplom ukończenia studiów miał już za sobą praktykę i doświadczenie konstruktora samolotów. Jego obliczeniowy i konstrukcyjny projekt samolotu, jaki musiał przedłożyć dla ukończenia studiów, nie zapełniał półek archiwalnych lecz często bywał realizowany w praktyce. Autor projektu, przetwarzał go w rzeczywistości: własnoręcznie przygotowywał części, kleił je i montował w większą całość, aż z tego powstawał samolot.

Spośród członków Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów Politechniki Warszawskiej, wyrosło wielu wybitnych, później też uznanych w świecie polskich konstruktorów lotniczych. Później z warsztatów tej sekcji powstały Lotnicze Warsztaty Doświadczalne, w których tworzono słynne na cały świat samoloty sportowo-turystyczne oznaczone literami RWD, będącymi inicjałami nazwisk ich konstruktorów.

Mijały lata, lecz dobrze zapoczątkowane i niezwykle cenne osiągnięcia dydaktyczno-wychowawcze zaprzepaszczono, zrezygnowano z nich całkowicie.

I oto, po upływie pół wieku, na Politechnice Warszawskiej, w Zakładzie Specjalizacji Samolotów i Śmigłowców, w zespole Naukowo-Badawczym Technologii Lotniczych Konstrukcji Kompozytowych, odżyły tamte idee. Znów – jak kiedyś – podjęto zamysł realizowania rękami studentów projektów powstałych na tutejszej uczelni. Zamysł, który przyszłym konstruktorom lotniczym nie tylko miał dać możliwość sprawdzenia się w praktyce najnowszej technologii, ale też miał ożywić studenckie środowisko skupione w kole Naukowym Lotników. Za motto tego przedsięwzięcia służy następująca wypowiedź Stanisława Staszica.

„Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumu wywodem albo próżniactwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane dla użytku narodów”.

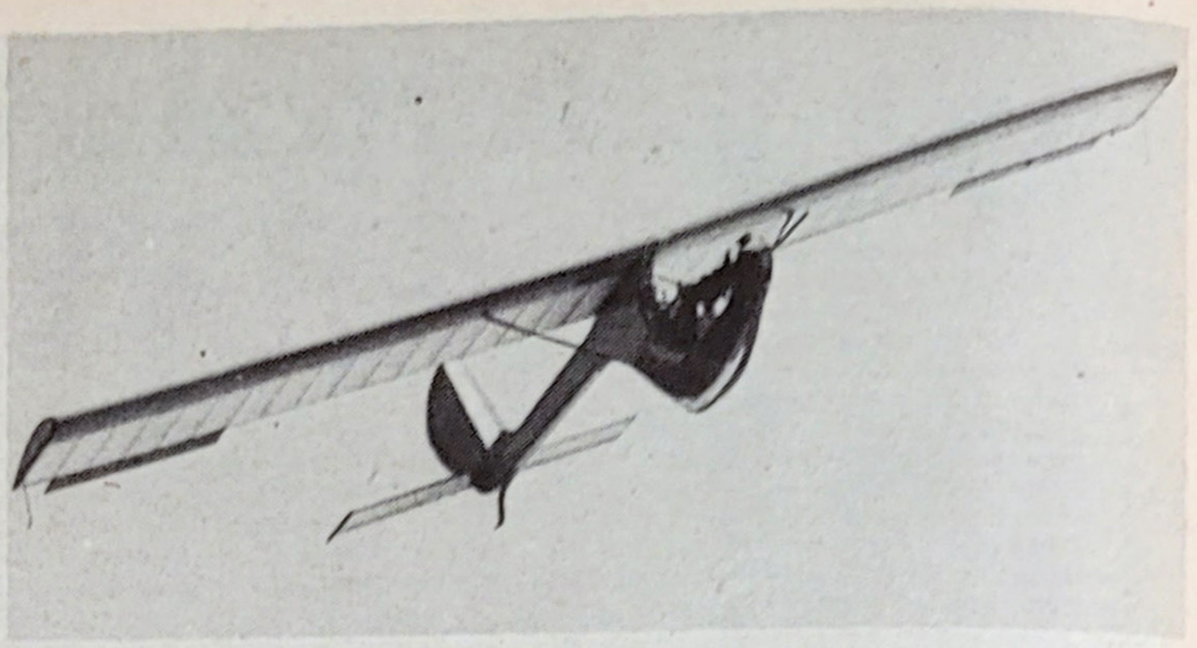

ULS w locie

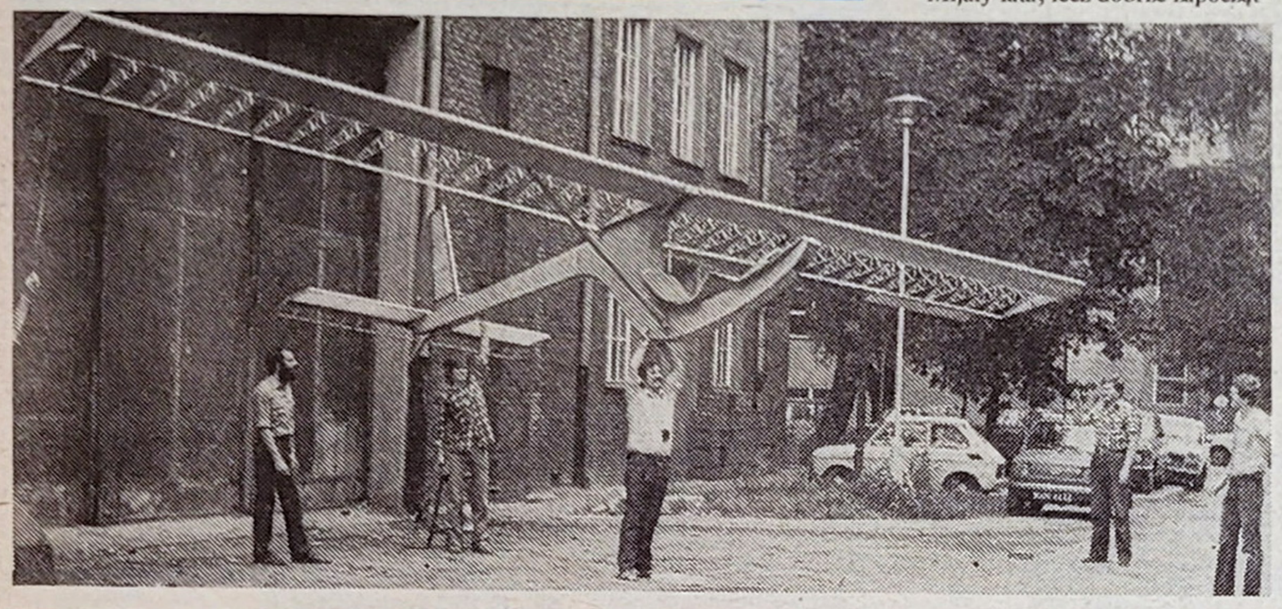

Oto szybowiec prawie lżejszy od powietrza – jeszcze w „negliżu”. Tylko... 40,5 kg. Nie wierzycie? To przypatrzcie się zdjęciu. Jego dane – wymiary: rozpiętość skrzydeł – 10,87 m, długość – 5,45 m, wysokość – 1,5 m; powierzchnia nośna – 12,65 m². Ciężar własny – 44 kg. Osiągi (obliczeniowe): prędkość minimalna – 40 km/h, prędkość maksymalna – 125 km/h; minimalna prędkość opadania 0,85 m/s, doskonałość maksymalna – 16 (doskonałość szybowca jest to ilość kilometrów jaką on przeleci z wysokości 1 kilometra)

„Zbudujemy szybowiec prawie lżejszy od powietrza”

Nie jest wcale dziełem przypadku, że taką inicjatywę podjął zespół zajmujący się nowymi technologiami. Konstrukcje kompozytowe, oparte na włóknach szklanych nasycanych żywicami epoksydowymi dziś już nie są żadną nowością. W oparciu o te technologie produkuje się już łodzie i większe jednostki pływające, i nadwozia samochodów sportowych itp. a także samoloty i szybowce.

W Polsce zajmuje się tym wytwórnia szybowców w Bielsku-Białej. Przeważnie są to szybowce wysokowyczynowe, tak zwane superorchidee, produkowane raczej w niewielkich seriach. Tymczasem, zespół z PW rzucił myśl budowy szybowca prostego w konstrukcji, taniego. Nie szkolnego czy treningowego, a tym bardziej wyczynowego, lecz do... „polatania”. Konstrukcje metalowe są bardzo trudne i kosztowne w wykonaniu, drewniane, oprócz już istniejących trudności w zdobyciu odpowiedniego materiału (na konstrukcje lotnicze musi być to drewno wybrane, odpowiadające wysokim wymaganiom wytrzymałościowym), są konstrukcjami zbyt archaicznymi. Jeśli przyjmuje się w lotnictwie, że ciężar pilota wraz ze spadochronem, wynosi 80 kg, to optymalny, najlepszy ciężar szybowca powinien wynosić tylko... 40 kg. Czyli szybowiec powinien być lekki jak przysłowiowy puch, prawie lżejszy od powietrza.

ULS – szybowiec dla Kowalskiego?

Idea lekkiego szybowca „do polatania” nie jest wcale nową ideą. Takimi przecież były szybowce pionierów lotnictwa: Niemca – Otto Lilienthala, Francuza – Chanute i „Lotnia” naszego rodaka – Czesława Tańskiego. Jednak w pogoni za wyczynami budowano potem szybowce coraz to cięższe i w rezultacie waga współczesnego szybowca wyczynowego nierzadko przekracza 350 kg. Szybowce te wymagają większych lotnisk i drogiego sprzętu do startu – specjalnych wyciągarek czy holowniczych samolotów. Toteż, w ostatnich latach, odżyły tendencje do latania na szybowcach dość prostych w konstrukcji, a więc tanich – także w użytkowaniu – i przez to bardziej dostępnych, takich szybowców – „dla każdego”.

Najpierw pojawiły się lotnie typu Rogallo; niesłychanie proste w konstrukcji i też łatwe w pilotażu. Warto tu dodać, że lotnia ta jest wynalazkiem Polaka – Franciszka Rogali – mieszkającego w Stanach Zjednoczonych, pracownika tamtejszego instytutu aerodynamicznego. Kierownikiem tego instytutu przez pewien czas był znów inny Polak: Gustaw Mokrzycki, przed wojną profesor Politechniki Warszawskiej też działający wtedy w Warszawskim Instytucie Aerodynamicznym – i też wtedy patron oraz gorący orędownik ówczesnych twórczych poczynań studenckiej Sekcji Lotniczej.

ULS został zbudowany...

Szybowiec ULS, opracowany na Politechnice Warszawskiej, w znacznej części odpowiada takim wymaganiom. W całej konstrukcji maksymalnie wykorzystano struktury przekładkowe; na struktury te składają się dwie zewnętrzne powierzchnie wykonane z tkaniny z włókna szklanego nasyconej żywicą epoksydową i przełożone (oddzielne od siebie) wypełniaczem – bardzo lekką pianką ze sztucznego tworzywa. Struktury przekładkowe mają bardzo dużą wytrzymałość i wysoką sztywność. Z nich stworzono szkieletową część płata, pokrytą potem odpowiednią tkaniną spadochronową. W podobny sposób zostały wykonane stateczniki – poziomy i pionowy.

Kadłub wykonano podobną technologią, w oparciu o strukturę przekładkową wykonano tylną część kadłuba – tzw. belkę ogonową – oraz przednią, tworzącą płozę do lądowania, na której znajduje się siedzenie, a właściwie „leżadło” dla pilota. Drążek sterowy w tym szybowcu umieszczono dość niezwyczajnie: jest on „wiszący” przed twarzą pilota.

Projekt szybowca – jego konstrukcja i technologia – są dziełem pracowników Zespołu Technologii Lotniczych Konstrukcji Kompozytowych: dra. inż. Romana Switkiewicza, mgra inż. Jerzego Kędzierskiego i mgra inż. Przemysława Plecińskiego. Radą i pomocą, szczególnie w zakresie obliczeń służyli: prof. Leszek Dulęba i dr Witold Błażewicz. Przy okazji tego przedsięwzięcia prowadzono działalność dydaktyczną i naukowo-badawczą. Studenci Wydziału MEiL: Wojciech Broda, Bernard Masztalski, Krzysztof Pierzchanowski, Eligiusz Sokołowski i Adam Szymanda, wykonali pięć różnych prac przejściowych konstrukcyjno-technologicznych związanych z tym szybowcem.

Przy wykonywaniu szybowca korzystano z pomocy wytwórni szybowców w Bielsku Białej, która bezpłatnie dostarczyła większość materiałów. Korzystano też i z innych form pomocy. Przy budowie szybowca wzięło udział łącznie około 30 studentów Wydziału MEiL, w tym kilku modelarzy lotniczych mających już pewne doświadczenie w tak nowoczesnej te-

Fot. **archiwum (RWD w locie) oraz Jan Filipiak (szybowca ULS)**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

9

ESPAÑA 82

Francja

NADZIEJE NA SUKCES

Związek Francuskiej Piłki Nożnej powstał w 1919 roku. Jego poprzednikiem był Francuski Związek Atletyczny, który założono w roku 1888. Członkostwo w FIFA od 1904 roku. Barwy reprezentacyjne – koszulki niebieskie, spodenki białe, skarpety czerwone. Osiągnięcia: siedem razy w MŚ, trzecie miejsce w Mundialu – 1958. Adres: FEDERATION FRANCAISE DE FOOTBALL, 60 BIS, AVENUE D'IENA, 75-PARIS 16E.

Francuskie kluby odnosiły spore sukcesy w rozgrywkach pucharowych, ale reprezentacja raz tylko znalazła się w gronie światowej czołówki. Było to przed niemal ćwierćwieczem, kiedy w narodowym zespole grał doskonały napastnik JUST FONTAINE. Kierowana przez niego drużyna zdobyła medal brązowy a on sam tytuł króla strzelców. Uzyskując 13 celnych trafień FONTAINE zasiada na tronie do dziś, bowiem taką skutecznością w MŚ nikt się później nie popisał. Mają więc o czym wspominać kibice znad Sekwany i Loary. Liczą też na potwórzenie wyczynu swojego zespołu podczas hiszpańskich mistrzostw. Reprezentacyjna jedenastka gra obecnie wspaniale. Nie tylko wyeliminowała z tegorocznego Mundialu groźnych zawsze Holendrów, ale również pokonała niedawno wyśmienitych Włochów. Trener MICHEL HIDALGO stworzył rozumiejącą się drużynę, o czym świadczą jej występy i drugi z rzędu awans do MŚ. Gra Francuzów może się podobać. Szybki i urozmaicony atak, doskonała technika – oto podstawowe walory zespołu. Warto też podkreślić, że są oni mistrzami w wykorzystywaniu tzw. stałych fragmentów gry. Nikt tak nie potrafi egzekwować rzutów wolnych jak MICHEL PLATINI. Ten obdarzony kapitalnym strzałem pomocnik jest mózgiem zespołu. Mówi się nawet, że reprezentacja gra dobrze kiedy on jest w formie. PLATINI kieruje poczynaniami ataku i obrony, od niego rozpoczyna się większość akcji ofensywnych. A przecież nie kończy się na nim lista francuskich znakomitości. Na środku napadu występuje doskonały technik BERNARD LACOMBE, obok niego DOMINIQUE ROCHETEAU, a na prawym skrzydle bramkostrzelny DIDIER SIX; w obronie najlepszy piłkarz Francji roku ubiegłego – MAXIME BOSSI. HIDALGO jest zwolennikiem futbolu ofensywnego i zapewne ponownie wybierze ustawienie 4–3–3.

Achillessową piętą reprezentacji była zawsze „miękkość”. Francuzi nie potrafili grać ostro i zdecydowanie. A przecież w ich mundialowej grupie występują Anglicy i Czechosłowacy, słynący z ostrych, stojących nawet na pograniczu faulu, wejść. Jeżeli podopieczni HIDALGO zlikwidują tę słabość – mogą wspiąć się bardzo wysoko.

W zespole, obok doświadczonych zawodników, występują piłkarze młodzi. Dobrze przyjął się w drużynie DANIEL BRAVO (zdobywca gola w meczu z Włochami), a także ALAIN COURIOL. Ten ostatni jest rodem z... Martyniki. Zresztą w kadrze znajduje się sporo czarnoskórych, pochodzących z Mali, Gwadelupy i Nowej Kaledonii, zawodników. Ta mieszanka rutyny i młodości (i koloru) ma szanse skutecznie stawić czoła najlepszym. **(zp)**

Napastnik Bruno Bellone (w niebieskiej koszulce) też potrafi skutecznie strzelić Fot. **archiwum**

FUTBOL POD GALICOWĄ GRAPĄ

„Partyzanci" z Poronina

O Galicowej Grapie, rozsiadłej wzdłuż szemrzącego Porońca, mówi się, że to dobra góra. Nie schodzą z niej śnieżne i kamienne lawiny, a tamtejsi gazdowie sieją na jej łagodnych zboczach trochę zboża, wypasają bydło. Po Grapie uganiają się miejscowe dzieciaki. Zwłaszcza zimą, kiedy do nóg mogą przypiąć produkowane w niedalekich Szaflarach biegówki. Narty posiada tu prawie każdy i to niezależnie od wieku. I aż dziw bierze, że nie ma ich w herbie tej zasłużonej dla polskiego sportu miejscowości. W Poroninie przecież wychowały się i wyrosły na światowej klasy narciarki siostry Majerczykówny, Józefa Chromik, dwuboista Andrzej Zarycki... Pod okiem dźwigającego na karku nie wiadomo już który dziesiątek lat „Dziadka" Marduły podrastają następni mistrzowie śnieżnych tras. Ale nie o narciarzach chcemy dziś pisać. Poroniński LKS „Poroniec" ma również piłkarzy. Wprawdzie sławą nie dorównują oni przedstawicielom zimowych dyscyplin, jednak na uwagę zasługują z paru powodów.

Kierownikiem drużyny jest Marek Topór, w „cywilu" zegarmistrz. Jak trzeba zamyka swój mieszczący się w zakopiańskim domu towarowym „Granit" warsztacik i wyciąga z szafy piłkarskie buty. Ale na boisko wybiega coraz rzadziej. W klubie wiecznie coś należy załatwić, a ludziom jak na złość psują się zegarki, więc na treningi czasu nie starcza. Zresztą są od niego młodsi zawodnicy, którym Marek miejsca nie chce blokować. Przyjeżdżają do Poronina z Zakopanego, Stasikówki, Białego Dunajca, Szaflar... Jest ich, jak w wielkomiejskich klubach, ponad pół setki.

W LKS od dawna panuje istnie rodzinna atmosfera. „Topór" i Staszek Trebunia, który jest etatowym trenerem „Porońca" i zarazem kapitanem pierwszej drużyny, przyjmują wszystkich chętnych. I choć nie starcza dla każdego butów i strojów – robią co mogą, aby żaden z chłopaków nie odszedł zawiedziony. A ci potrafią się odwzajemnić. Gdy trzeba na przykład remontować boisko – roboty nie odmawia nikt. Stąd też gliniasta i trudna do utrzymania w dobrym stanie płyta stadionu nigdy nie budzi zastrzeżeń sędziów. Teraz piłkarze, razem z narciarzami, budują na stoku Grapy skocznię. Taką ze sztuczną nawierzchnią, potrzebną do ćwiczeń o każdej porze roku. Niedługo skończą, niedługo zejdą z dłoni wyciśnięte przez tony przerzuconej łopatami kamienistej ziemi odciski. Ostatni odcinek nowego obiektu wypadnie akurat za jedną z bramek. Jakby dla podkreślenia, że w klubie nie dzieli się sekcji na lepszą i gorszą.

Z powodzeniem grają w klasie wojewódzkiej z braku funduszy na wyjazdowe mecze korzystają również z własnych środków lokomocji). Dwaj panowie T. nie liczą na jakieś wielkie sukcesy, na równanie do ligowych zespołów. Chociaż właściwie to nie mogą uporać się jedynie z drużyną Gorlic. Myślą raczej o przyciągnięciu do klubu dysponujących nadmiarem czasu gazdowych synów, takich pragnących wyżyć się w ulubionej dyscyplinie. I jak dotąd specjalnych kłopotów z nimi nie mają. Góralskie temperamenty wyładowują się na piłce. A swoją drogą chłopcy kopać potrafią. Andrzej Buńda strzela gole w każdym prawie meczu. Andrzej Zarycki, ten nasz czołowy do niedawna dwuboista, równie dobrze radzi sobie na pomocy. Brat Staszka – Bronek, stanowi trudną dla napastników przeszkodę do sforsowania. Jest jeszcze Andrzej Hornik, który jak „ma dzień" broni elkaesowskiej bramki ze zręcznością górskiej kozicy. Szkoda tylko, że najmłodszy z nich, Romek Budz, nie przykłada się do treningów. Mógłby kiedyś grać lepiej od Hornika, a może nawet jak sam Tomaszewski...

Jest w zespole paru „partyzantów". Zimą jeżdżą na nartach w zakopiańskich klubach. Ale gdy przygrzeje słońce ciągną do piłki. Na to nie godzą się, w obawie o ewentualne kontuzje, ich trenerzy. Chłopcy przyszli więc do „Porońca" bowiem w stolicy naszych Tatr sprawa wydałaby się szybko. Ukrywają ten fakt przed swoimi szkoleniowcami. Nam również nie zdradzili swoich nazwisk. Z twarzy „partyzantów" biła jednak radość. Cieszą się, że mogą wybiegnąć na piłkarską murawę. Potwierdzają starą zasadę, która mówi, że sport nie lubi męczenników. Tego samego zdania jest chyba sam prezes LKS, Józef Borgosz. Inaczej nie przymykałby oczu na „wybryki" zakopiańczyków.

Przed każdym meczem pod Galicową Grapą ciągną gazdowie na stadion niczym na odpust. I są bardzo wymagający wobec swojego zespołu. Od razu zauważą, który z piłkarzy bierze rozbrat z treningiem, a następnie wskażą delikwenta, wygwiżdżą, wyśmieją. Najgorsze to ostatnie, bo potrafią długo pamiętać nieudane zagrywki, szydzić z tego czy tamtego. Narażać się więc nikt nie ma ochoty. I może dlatego „Poroniec" należy do najlepszych piłkarskich drużyn na Podhalu już prawie od czterdziestu lat. **(zp)**

Fot. **archiwum**

W lutym bieżącego roku LKS „Poroniec" zdobył Puchar Wyzwolenia Podhala. Ale zdjęcie to pochodzi z poprzednich rozgrywek. Pierwszy od prawej stoi Staszek Trebunia, obok niego Marek Topór. Pierwszy od lewej, również w drugim rzędzie, stoi były dwuboista Andrzej Zarycki

Kukiełkowe bajki „Satyryczka"

UWAGA, ZACZYNAMY...

Rozlegają się krótkie dzwonki oznajmiające początek przedstawienia. Światła na widowni gasną. Rozsuwa się kurtyna. Scena ma imitować ekran telewizyjny. Toteż za chwilę pojawia się sympatyczna spikerka – Małgosia.

„Zakończyliśmy właśnie nadawanie Dziennika Telewizyjnego. Zapraszamy dzieci, rodziców i gości na przedstawienie..." Potem zjawia się jeszcze jedna znajoma ze szklanego ekranu – pszczółka Maja. Tak rozpoczęło się przedstawienie Teatrzyku Kukiełkowego „Satyryczek" działającego przy Klubie Osiedla Młodych w Warszawie.

Cała ta zabawa w teatr zaczęła się półtora roku temu. Na pomysł wpadł pan Jan Wróblewski z klubu. Do współpracy pierwsi zgłosili się Paweł i Rafał, ze szkoły nr 60. Potem przyprowadzili do teatru swoje koleżanki z klasy. Ci pierwsi pozostali „Satyryczkowi" najwierniejsi. Obecnie prawie cały zespół to uczniowie VI a Szkoły Podstawowej nr 60 w Warszawie. Tylko Marta jest ze szkoły nr 120. Lalki przygotowują sami. Najpierw powstaje projekt rysunkowy, następnie lepi się twarz lalki z gliny i ubiera we własnoręcznie uszyty kostium. Cztery kukiełki dostali w prezencie od zawodowego teatru „Baj". Ale wszyscy skarżą się, że trudno nimi poruszać, ponieważ są bardzo ciężkie (ponad 2 kg). Ich własne są o wiele lżejsze. Scenografię również projektują i przygotowują sami.

Z każdym przedstawieniem „Satyryczek" ma sporo kłopotu. Ale któż ich dzisiaj nie ma? Spółdzielnia mieszkaniowa, która patronuje klubowi, przydzieliła na działalność teatru tylko 4 tys. złotych. Za to trzeba kupić żarówki, farby, materiały i wiele innych drobiazgów. Paweł zastanawia się właśnie, z czego zrobić smoka do następnej sztuki: „Najlepszy byłby z gąbki, ale skąd ją wziąć..." Poza tym teatrzykowi przydałoby się trochę więcej miejsca, gdyż pomieszczenie w którym działa nie przekracza 20 m². Już dawno obiecywano klubowi inny, większy lokal. Wszystko skończyło się jednak na obietnicy.

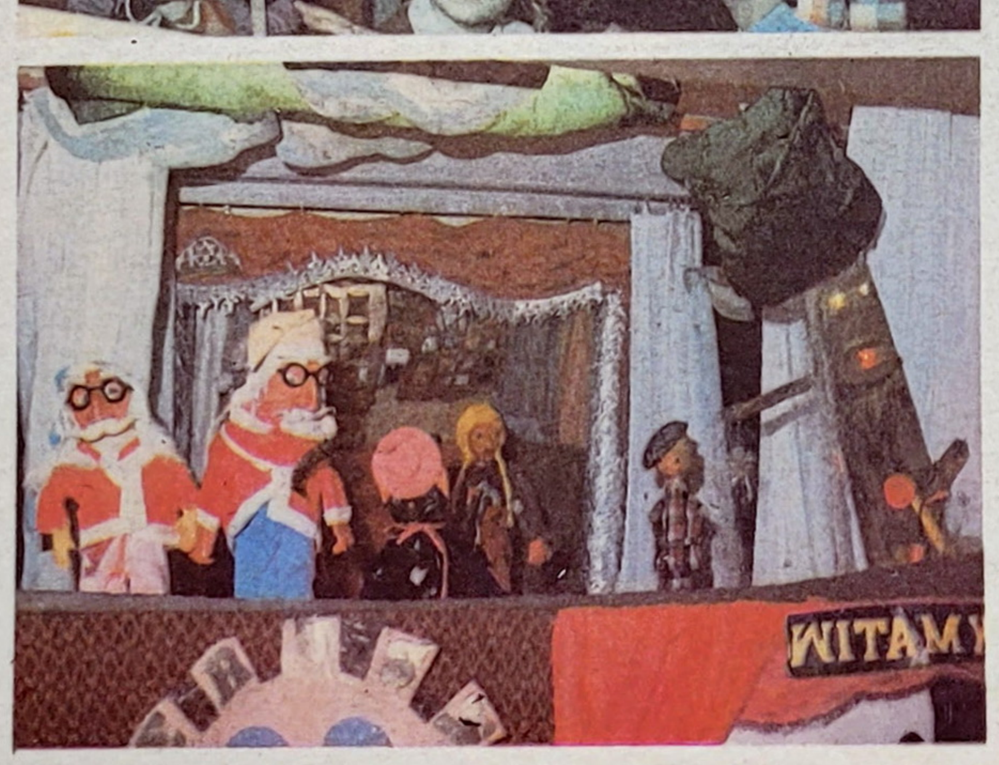

Bajkowy kram

Pierwszą wystawioną sztuką był „Kopciuszek". Przygotowania i próby trwały ok. 4 miesięcy. „To było nasze najlepsze przedstawienie" – mówi Ilona. Świetną muzykę skomponował pan Żukowski – instruktor muzyczny z klubu. Zastosowano również „efekty pirotechniczne" – strzelanie z korkowca. Szkoda tylko, że nie można „Kopciuszka" powtórzyć, ponieważ lalki zostały przystosowane do innych przedstawień.

Następne widowisko nosi tytuł „Przybieżały bajkowe lalki do Betlejem". Autorem scenariusza jest opiekun teatru – pan Wróblewski. To przedstawienie ma takie ogromne powodzenie. Przyszła już wiosna, a dzieci ciągle mają ochotę na oglądanie betlejemskich lalek. Jesteśmy na widowni. Za kulisami prawdziwa „przepychanka". Pięć osób porusza lalkami, a miejsca jest bardzo mało.

Aż 30 kukiełek bierze udział w widowisku – cała plejada bajkowych bohaterów. Ilona porusza dwoma krasnalami. Paweł gorączkowo montuje na patyku motyla, który właśnie się odkleił. „Podaj Babę Jagę" – słychać gorączkowy szept. „Niżej tego Heroda, bo widać kijek". Przedstawienie skończone. Jeszcze tylko ukłon w stronę widowni. Twarze młodych aktorów – lalkarzy rumiane z podniecenia i wysiłku, ale uśmiechnięte i zadowolone. Publiczność bije brawa!

Plany na przyszłość

Scenariusz do następnego przedstawienia napisał Paweł. To on stanowi, zdaje się, duszę całego zespołu. Pan Wróblewski nazywa go swoim asystentem. Sztuka na razie jest bez tytułu. Temat wzięty ze świata baśni. Paweł niechętnie uchyla rąbka tajemnicy, żeby nie zapeszyć. Rzecz będzie o porwaniu księżniczki. Czarnoksiężnik na polecenie skrzatów ma znaleźć sposób na zabicie smoka, który zagraża księżniczce.

Czy znajdzie, zobaczymy. Przygotowania do przedstawienia już się rozpoczęły. Wykonano część dekoracji. Na najbliższej próbie będą rozdzielone role. Premiera w czerwcu, na Dzień Dziecka. „Satyryczek" zaprasza!

JOLANTA ZDANOWSKA

Fot. **Jacek Łopuszyński**

KARTKI Z DAWNYCH LAT

Marcin z Łęczycy

Łęczyca wydała w ciągu minionych wieków wielu zasłużonych ludzi w różnych dziedzinach życia i wiedzy, znanych nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami.

Jedną z takich postaci był żyjący i działający w XV stuleciu Marcin z Łęczycy – filozof, astronom i astrolog, zajmujący stanowisko profesora i rektora Uniwersytetu Praskiego. Z Polski do Czech przeniósł się w roku 1427. Tu osiadł w Pradze. W roku 1428 występuje w źródłach jako student Uniwersytetu Praskiego i zarazem rektor (dyrektor) jednej z miejscowych szkół parafialnych.

Uzyskawszy w roku 1432 bakalaureat (dyplom bakałarza, najniższy stopień naukowy nadawany od XIV wieku przez uniwersytety europejskie), Marcin z Łęczycy rozpoczął wykłady w Kolegium Nazareńskim. W następnym roku został magistrem sztuk wyzwolonych. Rok 1445 przyniósł mu godność dziekana Wydziału Sztuk Wyzwolonych, a w półroczu zimowym 1455/1456 piastował nawet godność rektora Uniwersytetu w Pradze.

Zapewne wkrótce potem Marcin z Łęczycy poświęcił się studiom lekarskim. Nie zaniedbywał jednak także swoich zainteresowań filozoficznych i astrologicznych. Warto podać jako ciekawostkę, że słynął szeroko z trafnych horoskopów.

Marcin z Łęczycy położył duże zasługi w dziedzinie niesienia pomocy młodzieży polskiej, przebywającej i studiującej w Pradze. Był on między innymi mistrzem i opiekunem Stanisława z Gniezna – przyszłego profesora Uniwersytetu Praskiego i dziekana Wydziału Filozoficznego oraz Marcina Króla z Żurawicy – późniejszego profesora Akademii Krakowskiej, astronoma i lekarza.

Prawdopodobnie u schyłku życia Marcin z Łęczycy powrócił do Polski, obejmując około 1473 roku stanowisko lekarza kapituły poznańskiej. Zmarł między rokiem 1473 a 1474.

HENRYK SZUBERT

GWIAZDOZBIÓR

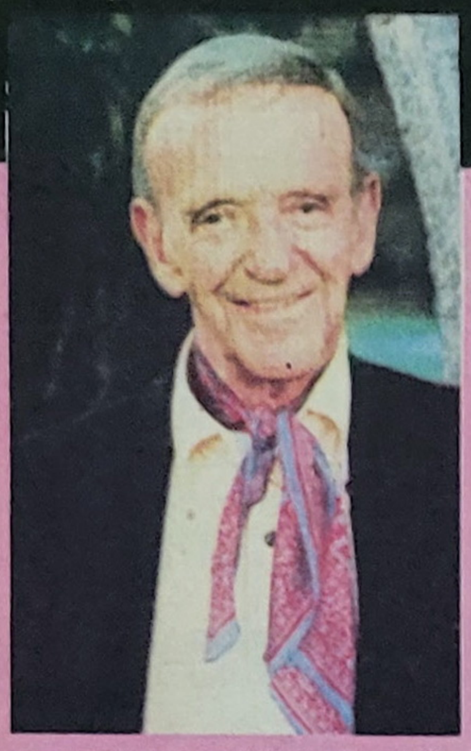

FRED ASTAIRE

już nie chce tańczyć!

Tempo życia wciąż wzrasta, a jakby na przekór temu, ludziom trudno się wyrwać z kręgu wspomnień. Nawet w Ameryce, gdzie żyje się ponoć najszybciej, zapotrzebowanie właśnie na stare filmy ciągle wzrasta. Dowodem tego jest wielki show, który zorganizowała bezkonkurencyjnemu niegdyś filmowemu tancerzowi – Fredowi Astaire, telewizja amerykańska w ostatni wieczór sylwestrowy. Show ten zajął kilka godzin i nosił tytuł „Fred Astaire – supergwiazda". Oczekiwany był przez widzów z wielkim zainteresowaniem. Jego bohater ma obecnie 82 lata, a za sobą bogatą przeszłość. Okazało się, że komedie muzyczne, w których tańczył i śpiewał: „Top hat", „Parada wiosenna", „Śmieszna buzia" i wiele, wiele innych – wciąż zachowały miejsce w sercu publiczności.

Sędziwy artysta nie jest jednak zadowolony ze swojej zgody na udział w tym programie. *Moje serce nie akceptuje już moich szaleństw* – powiedział. *Ten show wyczerpał moją energię do tego stopnia, że teraz mogę już tylko siedzieć w fotelu przed telewizorem. Zresztą błędem byłoby pokazywanie starego człowieka równocześnie z filmami, w których był młody i piękny.*

Fred Astaire w niezrównanym duecie tanecznym z Ginger Rogers

Fred Astaire zachował do dziś swoją niezwykłą żywotność i ten specyficzny rodzaj humoru, który był wielkim atutem jego licznych filmów. Ale najżywsze wspomnienia zachował na temat najwcześniejszych chwil swojej artystycznej drogi. I nie są to wspomnienia miłe.

– *W Hollywood miałem czterech sędziów. Po mojej pierwszej próbie filmowej napisali w raporcie: „Jest niezdolny do gry przed kamerą. Umie trochę tańczyć, ale jest zerem jeśli chodzi o śpiew". Tak, tak... dla Hollywood byłem zerem jeszcze przed początkiem wszystkiego".*

Kariera Freda Astaire była absolutnym zaprzeczeniem werdyktu pierwszych jurorów jego sztuki. Ale od tamtej chwili, choć grał w wielu filmach muzycznych ze znakomitymi partnerami, jego stopa nie przekroczyła progu żadnej sali kinowej. A teraz, kiedy zabrakło takich gwiazd music-hollu jak Ginger Rogers, Cyd Charisse, czy Gene Kelly – komedia muzyczna dla Astaire w ogóle przestała istnieć.

– *Nie ma komedii muzycznej, bo nie istnieje już, ani komedia ani muzyka* – powiedział ostatnio. *Przedtem w kinie kochało się kobiety z fantazją, oświadczyny się wyśpiewywało. Dziś wygląda to inaczej – romantyzm gdzieś zniknął! A co się tyczy muzyki, to miałem zawsze swój „sposobik", by poznać czy jest dobra, czy nie... Jeśli nie podrywała mnie z krzesła, na którym akurat siedziałem – była po prostu zła. A ostatnio widziałem w telewizji program o Rolling Stones. Poderwało mnie z krzesła, ale po to, by... wyłączyć telewizor.*

Młodziutki Fred Astaire (jego prawdziwe nazwisko brzmi Fred... Austerlitz) zrobił sensację na Broadwayu. Jednak już wtedy miał wątpliwości, czy był to autentyczny sukces.

– *Kiedy po raz pierwszy krążyłem w tańcu po studio, charakteryzacja nie pozwoliła mi na najmniejsze drgnienie rysów, na okazanie wrażliwości, na minę smutną i interesującą. Tylko moi wrogowie mogą twierdzić, że moje życie było cudowne!*

Przeszłość nie zapisała się więc dobrze w jego pamięci, a współczesność jeszcze gorzej.

Proponują mi teraz bym zagrał w komedii muzycznej, jak dawniej. Ale ja wszystkiego już się boję: podróży, hałasu, a przede wszystkim scenariusza, który, by tańczyć, każe mi założyć modne jeansy. Nigdy!

Wieść o tym, że ma zostać nakręcony film z Fredem Astaire była więc przedwczesna i narobiła wiele hałasu, ale w sensie pozytywnym, bo publiczność przecież z wielką radością przyjęła tę wiadomość. Samego artystę zbulwersowała i wywołała w nim wiele goryczy. Cóż, okazuje się, że życie tych, którzy w ogólnym pojęciu osiągnęli sukces – oni sami mogą uważać za zmarnowane. A jednak filmy z Fredem Astaire, którym nie daje zginąć telewizja – bronią i siebie, i jego. **(eb)**

Fot. **archiwum**

DOM MODY światła młodych

NIBY NIC TAKIEGO...

Wśród niektórych moich znajomych nastolatek (o Was myślę, o tych z Was, które do mnie pisują) panuje przekonanie, że aby być dobrze (modnie, elegancko, ładnie, efektownie, żeby koleżanki „diabli brali" etc.) ubraną, to dziewczyna MUSI MIEĆ pełną szafę SAMYCH NADZWYCZAJNYCH ciuchów. Samych nadzwyczajnych czyli najlepiej zagranicznych, za dolary zakupionych. Hm... Już nie wspominając o tym, że polskie nastolatki raczej dolarów nie miewają (a i złotówek też przecież nie za wiele), to i Wasze zagraniczne rówieśnice też na ogół nie ubierają się zgodnie z wytycznymi najświeższego żurnala. Żurnal bowiem żurnalem a życie życiem... No, ale na ten temat może innym razem, dzisiaj chciałabym spróbować zademonstrować Wam, że do DOBREGO UBRANIA SIĘ wcale nie są potrzebne super ciuchy.

Przypatrzcie się dziewczynie na zdjęciach! Trudno byłoby powiedzieć, że jest ubrana brzydko czy niemodnie, prawda?! A teraz prześledźmy, co ma na sobie. Po pierwsze – spódnicę z drobnej kratki. Materiał w sumie burowaty (akurat coś takiego, co bywa w sklepach), a fason całkiem banalny – spódnica jest marszczona, szyta z prostego kawałka, i ma dwie duże, nakładane kieszenie. Taką spódnicę każda dziewczyna może sobie sama uszyć, nawet od biedy i w ręku. Po drugie – ma białą koszulową bluzkę z długimi rękawami. Taką bluzkę też każda dziewczyna ma, to przecież bluzka od tzw. galowego szkolnego stroju. Sama jednak biała bluzka z burowatą spódnicą byłaby zestawieniem smutnym, nieciekawym. Dlatego też dziewczyna ze zdjęcia dołożyła do niego dwa kolorystyczne akcenty: włóczkową kamizelkę w kolorze jaskrawo niebieskim oraz czerwone rajstopy (pończochy). Kamizelka jest bardzo przeciętna, to, co ją wyróżnia – to jej wielkość. Jest duża, taka jakby za duża na tę dziewczynę. I to jest właśnie to! Najświeża moda lansuje bowiem rzeczy obszerne, rzeczy za duże. Ta za duża kamizelka w tym zestawieniu, to właśnie akcent tej najnowszej mody. Ta dziewczyna dobrze wie, co „w modzie piszczy" i dlatego ta kamizelka jest właśnie taka. Kto wie, może to jest kamizelka jej brata... Z kolei agresywny, czerwony kolor rajstop został nieco stonowany przez założenie na nie... krótkich białych skarpetek. To też jest modne, a biel skarpetek współgra ponadto z bielą bluzki. Ponieważ zaś mimo stonowania czerwieni na nogach (tymi krótkimi białymi skarpetkami) byłyby one za bardzo rzucające się w oczy (a nie są to przecież nogi najzgrabniejsze ani najszczuplejsze), to żeby się zbytnio w oczy nie rzucały, rozłożyła agresywność tej czerwieni na dwa punkty. Drugim jest mała plastikowa torebka na długim pasku: to taka... dziecinna torebka, tania i całkiem zwyczajna, tyle że czerwona.

Oczywiście te dwa akcenty kolorystyczne (niebieski i czerwony) nie muszą być właśnie tymi. Zamiast czerwieni mógłby być np. granat (zwłaszcza jeśli ktoś ma takie nogi, których za nic nie chciałby eksponować), a i kamizelka też może być w innym kolorze.

Na drugim zdjęciu dziewczyna ma założoną jeszcze kurtkę-żakiecik. Kurtka też jest jaskrawa (to może nie być kurtka, ale np. luźny, rozpinany sweter). Tak jaskrawa, że dziewczyna nie zaryzykowała już do niej czerwonej torebki (chusteczkę do nosa i parę groszy trzyma w jej kieszeniach). Ale gdyby kurtka była mniej jaskrawa, to wtedy torebka byłaby jak ulał. Więc można tak i tak – zależy, jaką się ma kurtkę. W każdym jednak wypadku dobrze będą wyglądały rękawiczki z tej samej włóczki co kamizelka, zwłaszcza jeśli kurtkę nosi się rozpiętą i kamizelkę spod niej widać.

Ładnie to razem wygląda, prawda?! A przecież żadnych nadzwyczajnych ciuchów ona na sobie nie ma. Niby nic takiego... a jednak! No i co?!

RIUSZKA

ZAGADKOWA GÓRA

W płn. Kaukazie, blisko miasta Żeleznawodska jest góra, która przypomina zwierzę z kosmatą grzywą. Dawniej nazywano ją Śpiącym Lwem. Obecnie ma ona trochę mniej poetyczne imię – Rozwałka. Góra ta długo kryła zagadkę. Dlaczego, na przykład, u stóp Rozwałki rosną nie spotykane wcale w tym rejonie rośliny jak jarzębina, karłowata brzoza, malina – charakterystyczne raczej dla zimniejszego klimatu? Nawet latem mech porastający podnóże pokryty jest szronem, a woda wyciekająca z wnętrza góry zimna jak z lodówki. W lipcu, kiedy wokół temperatura dochodzi do 35°C, ze szczelin wydobywa się zimne powietrze. Inaczej zimą. Wokół śnieg i mróz, a nad wierzchołkiem unosi się ciepłe powietrze, widać wyraźnie obłoczki pary. Zjawisko to długo było tajemnicą. Wreszcie wszystko wyjaśniło się. Góra ma we wnętrzu głębokie pory. Latem, kiedy zimne powietrze wydobywa się z niższej części góry, przez szczeliny w wierzchołku wciągane jest ciepłe powietrze. Stopniowo ochładza się ono i opada na dół. W ciągu lata cyrkulujące we wnętrzu góry powietrze ogrzewa się. Kiedy nadchodzi zima, ciepłe i lżejsze masy unoszą się ku górze, a szczeliny w podnóżu wsysają zimne powietrze.

Tak właśnie Rozwałka – „oddycha" – latem – chłodem a zimą – ciepłem. **(jz)**

„Umiejętności dopotąd..."

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

chnologii. Budowa szybowca trwała dość długo w czasie. Budowano go głównie w czasie studenckich praktyk wakacyjnych 1978, 1979 i 1980 roku. I oto w czerwcu 1981 roku nastąpiło „zatknięcie wiechy" na ULS-ie a potem już tylko czekanie na jego oblatanie.

Oblatany!

Każdy prototyp szybowca zanim wzleci w powietrze musi przedtem przejść odpowiednie badania i próby naziemne. Do dokonania oblotu ULS-a zadeklarował chęć Adam Zientek, swego czasu znany szybownik wyczynowy, obecnie pilot doświadczalny „Działu prób w locie" wytwórni w Bielsku-Białej. Na dzień oblotu wyznaczono 27 września 1981 roku, zaś na miejsce – lotnisko Aeroklubu Ziemi Piotrkowskiej. Szybowiec ULS trasę Warszawa–Piotrków Trybunalski odbył dzień przedtem na wózku transportowym ciągnionym przez... „malucha". Następnego dnia odbyły się jego pierwsze loty. Do prób startu użyto samochodu Tarpan wyposażonego w odpowiedni zaczep.

Najpierw nastąpił tzw. szur wykonany z prędkością mniejszą od minimalnej, przy której szybowiec nie może się jeszcze oderwać od ziemi. Potem nastąpiły wzloty coraz wyższe – drugi lot na wysokości aż... 1,5 m – przy których wykonywano odpowiednie programy, prób. Loty zakończono startem na linie holowniczej o długości 400 m, co pozwalało na dokonanie pełnego zakrętu z lądowaniem pod wiatr. Ostatnie dwa loty wykonał mgr inż. January Roman – także pilot doświadczalny tej wytwórni. I na tym – ale tylko na razie – koniec. Wstępnie stwierdzono, że szybowiec spełnia oczekiwane nadzieje. Jest rzeczywiście ultralekki i poprawny w pilotażu.

Co dalej?

Dalsze jego obloty nastąpią już wkrótce. Przerwa miała być wykorzystana na polakierowanie – ULS latał w stanie „surowym", niepomalowany – oraz na dokonanie niezbędnych uzupełnień i poprawek. Następne próby powinny przynieść wpisanie szybowca do rejestru statków powietrznych PRL.

A potem – jeszcze na tym szybowcu – wypróbuje się tzw. rozpraszacze wirów brzegowych, mające polepszyć jego osiągi lotne i to poważnie; prędkość opadania zmaleje do ok. 0,6 m/s a doskonałość zwiększy się do ok. 23. Tymczasem zespół pracuje już nad następnym szybowcem, już nie tylko eksperymentalnym, ale takim, który będzie prototypem szybowca popularnego „nowej generacji". A więc może następcy słynnych Erwudziaków?

LESZEK KOMUDA

21 lat temu, rankiem 12 kwietnia 1961 roku „świat wstrzymał oddech" – donosiły agencje prasowe z Moskwy. Oto do lotu w kosmos wystartował człowiek, major lotnictwa radzieckiego Jurij Gagarin (o tej rocznicy przypomina dziś Jacek Kałucki z Polanicy Zdroju). Kolumba Kosmosu – jak często nazywano Gagarina – nie ma już wśród żyjących od 15 lat – zginął w katastrofie lotniczej 27 marca 1967 roku. Jednak nazwisko pierwszego kosmonauty, jego pogodna, uśmiechnięta twarz, postać pełna skromności, pozostaną na zawsze na kartach historii astronautyki. Rocznica jego wspaniałego, bohaterskiego lotu obchodzona jest corocznie jako Międzynarodowy Dzień Lotnictwa i Astronautyki.

PREZES

Znaczki TOMIKA otrzymują:

Piotr Gajda, ul. Wróblewskiego 3/45, 97-200 Tomaszów Maz.; **Stanisław Łowicki**, ul. Akacjowa 18B/12, 47-330 Zdzieszowice; **Artur Juszczyk**, Pacanówka 9, 28-241 Koniemłoty; **Darek Węgrzyn**, ul. Niepodległości 7/10, 59-300 Lubin; **Jarosław Pawłowski**, ul. Staszica 7c/61, 67-100 Nowa Sól; **Stanisław Mańkowski**, ul. Górna 31, 64-510 Wronki; **Jan Wójtowicz**, ul. Puławskiego 67/3, 58-100 Świdnica Śl.; **Mirosław Piejak**, kol. Żółkiew 44, 22-435 Żółkiewka; **Artur Lewczuk**, ul. Graniczna 1, 21-500 Biała Podlaska; **Roman Bocheński**, ul. Broniewskiego 28A/77, 35-206 Rzeszów; **Krzysztof Tropiło**, ul. Zamkowa 4/9, 72-200 Nowogard.

Wszystkim wyróżnionym serdecznie gratuluję. Znaczki wysłane zostaną pocztą.

PIERWSZY BYŁ GAGARIN

Pierwszy lot człowieka w kosmos trwał 108 minut. Aż 108 minut! Czy tylko 108 minut? Ale każdą z nich poprzedzały lata dociekań, poszukiwań, prób... Ludzie od setek lat marzyli o dalekich pozaziemskich podróżach. Te marzenia torowały drogę nauce, technice, myśli ludzkiej. Lot Gagarina poprzedzały prace Leonarda da Vinci, odkrycia fundamentalnych praw przez Newtona, Kopernika i Einsteina, balon braci Montgolfier i samolot braci Wright, prace Ciołkowskiego i bohaterstwo Czkałowa, konstrukcje Korolowa... Jurij Gagarin był pierwszym człowiekiem, któremu dane było oderwać się od Ziemi, pokonać jej przyciąganie. Stało się to 12 kwietnia 1961 roku. „– Gdy tylko »Wostok« przebił się przez gęste warstwy atmosfery – wspominał pierwszy kosmonauta – zobaczyłem Ziemię. Statek przelatywał nad szeroką syberyjską rzeką... Patrzyłem to na niebo, to na Ziemię. Ostro rysowały się grzbiety gór, wielkie jeziora. Widać było i pola. Najpiękniejsze widowisko stanowił horyzont – jakby wymalowany wszystkimi kolorami tęczy pas oddzielający oświetloną promieniami słońca Ziemię od czarnego nieba. Widoczna była wypukłość, kulistość Ziemi..."

Taki był początek kosmicznych podróży człowieka. Po pionierskim locie Gagarina startowali w kosmos dalsi radzieccy kosmonauci – na pokładach statków typu „Wostok", „Woschod", „Sojuz". W ślad za pionierami kosmosu z Kraju Rad ruszyli Amerykanie. Kosmos stawał się człowiekowi bliski, coraz bliższy. Ale kosmiczna era zaczęła się przecież na naszej planecie wcześniej. Zanim potężna rakieta wyniosła w przestrzeń kosmiczną statek z człowiekiem na pokładzie, dane jej było wynosić na orbitę okołoziemską pojemniki z aparaturą naukową. Pierwszą taką rakietę, pierwszy taki pojemnik przygotowali radzieccy uczeni i inżynierowie. Im też pierwszym w historii ludzkości udało się taki pojemnik z aparaturą naukową umieścić na orbicie okołoziemskiej. Świat nazwał go więc „Sputnikiem", towarzyszem Ziemi. I ów radziecki „Sputnik" zapoczątkował na Ziemi erę kosmiczną.

Jacek Kałucki
ul. Fabryczna 5/3
57-320 Polanica Zdrój

Niebezpieczeństwa podróży międzygwiezdnej

Podróże międzygwiezdne z prędkościami przyświetlnymi są niemożliwe nie tylko ze względu na nierealność rozwiązań technicznych, ale i z powodu kosmicznych zagrożeń.

Przede wszystkim nie można zapominać o tym, że przestrzeń kosmiczna nie jest próżnią, ale że znajdują się w niej elementarne cząstki materii, cząstki gazów, mniejsze i większe bryłki materii – pył kosmiczny. W przypadku niezbyt długotrwałych wypraw odbywających się z niezbyt wielkimi prędkościami, nie stanowią one – w praktyce – nie tylko zagrożenia dla statku kosmicznego, ale nawet specjalnej niedogodności. Niestety, dla statku podróżującego z prędkościami przyświetlnymi stanowiłyby one katastrofalne niebezpieczeństwo: już zderzenia z elementarnymi cząstkami materii a tym bardziej z cząsteczkami gazów byłyby groźne. Statek kosmiczny przeszywałby cząstki materii o wielkiej energii. Przy prędkości równej 0,99 prędkości światła, proton ma energię 6 000 000 000 eV a energia zderzeń na każdy centymetr kwadratowy przekroju rakiety wynosić będzie 0,1 W/s co jest bardzo dużą wielkością. Powodowałoby to taki efekt, jakby statek znajdował się u wylotu kilkuset potężnych akceleratorów elementarnych cząstek materii, lub mniej ściśle porównując – we wnętrzu reaktora jądrowego. To promieniowanie jonizujące uszkadzałoby strukturę statku, a przede wszystkim byłoby zabójcze dla załogi.

Obliczenia wykazują przy tym, że w przypadku lotów z prędkościami przyświetlnymi, nie dałoby się skonstruować skutecznego pancerza przeciw tym promieniowaniom. Również pomysły zastosowania „pancerza magnetycznego" są niewykonalne technicznie. Jeszcze bardziej katastrofalne byłyby zderzenia z ziarnami pyłu kosmicznego. Uderzenie pyłku o masie paru mg powodowałoby efekt taki, jak wybuch 20 000 kg trotylu – silnego chemicznego materiału wybuchowego, którym wypełnia się konwencjonalne bomby i pociski. Ponieważ podróż miałaby przy tym trwać całe lata, zderzeń z takimi ziarnami pyłu kosmicznego byłoby wiele! Tak więc w niewiele miesięcy po rozpoczęciu podróży, międzygwiezdny statek kosmiczny zostałby po prostu rozbity. Brak przy tym projektów skutecznego zabezpieczenia statków przed takimi zderzeniami. Wszelkie bowiem pomysły „laserowych radarów" mających uprzedzać przed zderzeniami z ziarnami pyłu kosmicznego i umożliwiać ich wymijanie, są w przypadku podróży z prędkościami przyświetlnymi nieracjonalne.

Iwona Święcicka
ul. Bogusławskiego 20 m 113
01-923 Warszawa

KAMIENNA MAPA NIEBA SPRZED 30 TYS. LAT

Gdzie znajduje się kolebka naszej cywilizacji? Jej początku szukano nad Nilem, później w dolinach Tygrysu i Eufratu. W kulturze sumeryjskiej znajdują się początki matematyki, geometrii, astronomii, kalendarza księżycowego i słonecznego. Sumeryjscy mędrcy i kapłani stworzyli pierwsze modele wszechświata. Cywilizacja sumeryjska liczy ok. 6 tys. lat i nie jest wcale najstarsza.

W toku badań archeologicznych w ostatnim ćwierćwieczu znaleziono ślady zadziwiających osiągnięć cywilizacyjnych u ludów ze starszej epoki kamiennej. Pierwotni łowcy – ludzie epoki jaskiniowej – znali już podstawy matematyki i astronomii i posługiwali się precyzyjnymi kalendarzami księżycowymi.

W 1960 r. uczeni radzieccy znaleźli na Ukrainie kość mamuta zdobioną oryginalnym reliefem. Zabytek ten liczył 18 tys. lat. Zwrócono uwagę na oryginalny ornament złożony z 1033 kresek w różnym układzie, co zostało rozszyfrowane jako kalendarz księżycowy i słoneczny. Dokładniejsze interpretacje tego kalendarza przyniosły dalsze rewelacje – odtworzono cykle obrotu planet na niebie. Uczeni sądzą, że ludzie ze starszej epoki kamiennej znali już planety: Merkury, Wenus, Jowisz i Saturn. Ich ruchy obliczano z dokładnością do dwóch dni. Co więcej, wszystkie te wyliczenia tworzyły jeden system kalendarzowy Ziemi i pięciu planet.

W 1979 r. nad rzeką Biełyj ljus znaleziono kamienną mapę nieba sprzed 30 tys. lat. Mapa miała kształt wielkiego żółwia, na którego pancerzu zaznaczono różne punkty. Układają się one w zarysy najlepiej widocznych gwiazdozbiorów. Szczególnie wyraźnie oznaczono Wielką Niedźwiedzicę i Gwiazdę Polarną. W wielu starożytnych mitologiach żółw symbolizuje północny sektor nieba a Gwiazda Polarna jest osią świata. Oznaczone są także inne gwiazdozbiory m.in. Kasjopea.

Wbrew pozorom – twierdzą radzieccy uczeni – kalendarz nie pojawił się dopiero z rolnictwem, gdyż był znany znacznie wcześniej. Rachuba czasu i określanie pór roku potrzebne były także myśliwym i rybakom starszej epoki kamiennej. Musieli oni pilnować sezonowych wędrówek zwierząt. Zmiany sezonów najlepiej były sygnalizowane przez zmiany w położeniu gwiazd. Podstawą do rachuby czasu stały się również bardzo wyraźne fazy Księżyca.

Oparła ręce na pniu, szybko podbiła się w górę, dosięgnęła gałęzi. Pięknie było wkoło. W miarę wspominania obejmowała wzrokiem coraz większe przestrzenie zieleni, przemieszanej barwami zboża i koniczyny.

– Woda! – zawołała do Gabrysi. Jest ta łacha, łacha wiślana!

– Tata mówił, że woda blisko. Ale nie wchodź tak wysoko, nie wchodź!

– Nie słyszę – powiedziała Zuzka i wspięła się na czubek drzewa.

Kołysała się tam łagodnie.

Czy polubi te równiutkie doliny? Były jak kolorowe prześcieradła rozłożone szeroko. W niczym nie przypominały urozmaiconych terenów Podgórza. A i ta rzeka wąska się wydawała, uboga. Niebieska tasiemka, nic więcej.

Mimo to dobrze było kołysać się na drzewie jabłoni w ciszy i zapachu. Zapach był mocny i nieznany, dobiegał do ogrodu sprzed werandy. Rosły tam krzewy o kremowych drobnych kwiatkach, niepozornych, ale wypełnionych tą właśnie niezwykłą wonią.

– To jest kapryfolium, najsłodszy zapach świata – powiedziała mama w czasie kolacji na werandzie.

Wszystkim smakowała pierwsza kolacja w Podłężu. Rozmawiano wesoło wśród szmeru dzikiego wina, zapachu kapryfolium i światła gasnącego dnia.

Zuzka śledziła rodziców.

Patrzyli na siebie serdecznie, pogodnie. Uśmiechali się. Nawet nie za bardzo się przejęli tym, że Gabrysia brzydko jadła i nie zjadła wszystkiego.

– A widzisz?! – powiedział ojciec, przymrużywszy oko. Wąsy jego wesoło uniosły się w górę.

– Zobaczę! – odpowiedziała mama, jakby nie dość miała wszystkiego, co ujrzała pierwszego dnia.

Wyglądało to nawet na jakąś małą groźbę. Ale groźbą nie było, jeśli ojciec przytulił mamę do siebie i pocałował tuż nad oczami, w sam środek rozczochranej grzywki.

Gorszy był wieczór. Każdy czegoś szukał, czegoś nie znajdował, bo jeszcze było zapakowane. W dodatku pękło szkło w lampie i trzeba było zapalić świece, których nie było.

Karbowy przyniósł lampkę ze swego domu.

Postawił na stole i w kręgu tego niedużego światła zrobiło się weselej, zwłaszcza, że nie widziano rzeczy rozrzuconych po kątach.

– W Samogoszczy są takie szkła – powiedział – Ulinka przyniesie. Na słowo „Samogoszcz" mamę jakby coś ugryzło. Już nie była tą samą mamą z werandy przy kolacji. Nie uśmiechali się, wszystko ich złościło.

– Jeszcze nie śpisz? – krzyknęła mama. Chodziło o Gabrysię.

– A niby gdzie ma spać!

Zuzka patrzyła tym swoim spojrzeniem, którego nikt nie lubił. Też potrafiła się złościć, jeszcze jak!

– Możesz się zwinąć na podłodze i okryję cię gazetą – powiedziała do siostry.

– Cisza!! – krzyknął ojciec.

Mama spojrzała i jakby się przestraszyła, choć nie do niej, lecz do Zuzki skierowany był gniew ojca. Wynalazła jakieś rzeczy i pospiesznie wszyscy przygotowali się do spania.

Zuzka jednak nie mogła zasnąć.

Nasłuchiwała.

Dobiegło znowu słowo „Samogoszcz", jakieś złe odezwanie ojca, trochę płaczu mamy. I znowu ojciec i mama znowu, tak na przemian jedno drugie przekrzykiwało. Ale ojciec w końcu wziął górę. I nie krzyczał nareszcie. Mówił coś cicho i długo, i bez gniewu, bez najmniejszego gniewu.

Można już było spać spokojnie.

Tymczasem Zuzanna przewracała się na polowym łóżku i nie mogła znaleźć wygodnego miejsca. W końcu łóżko się złożyło. Nie ruszyła się, by je ustawić.

Słuchała przez chwilę, czy nikt się nie obudził, ale cisza panowała w pokoju rodziców, a Gabrysia tak spała, że nawet poświstywała przy oddychaniu. Leżała więc, a właściwie siedziała opierając się na poduszce i nagle odrzuciwszy już zresztą z myśli całą sprawę przypomniała sobie, że w Samogoszczy mieszka „pannica", której fotografię podarła mama w drobny mak.

Cdn.

30

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

SZALONY EKSPERYMENT

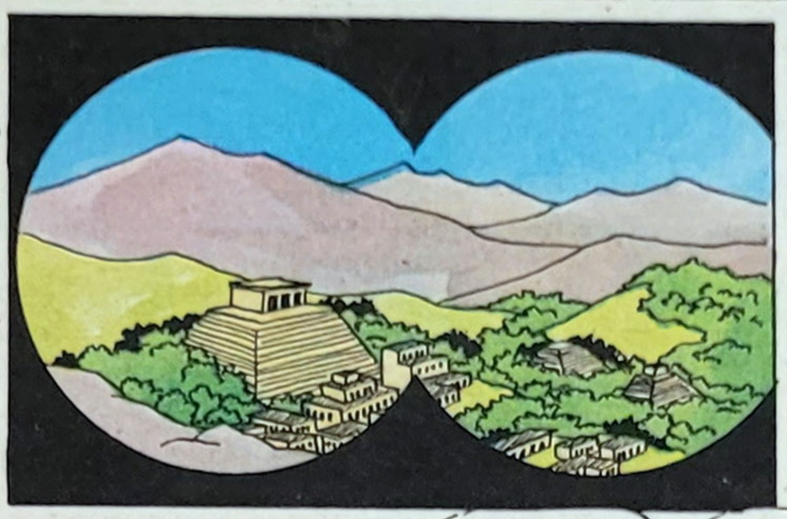

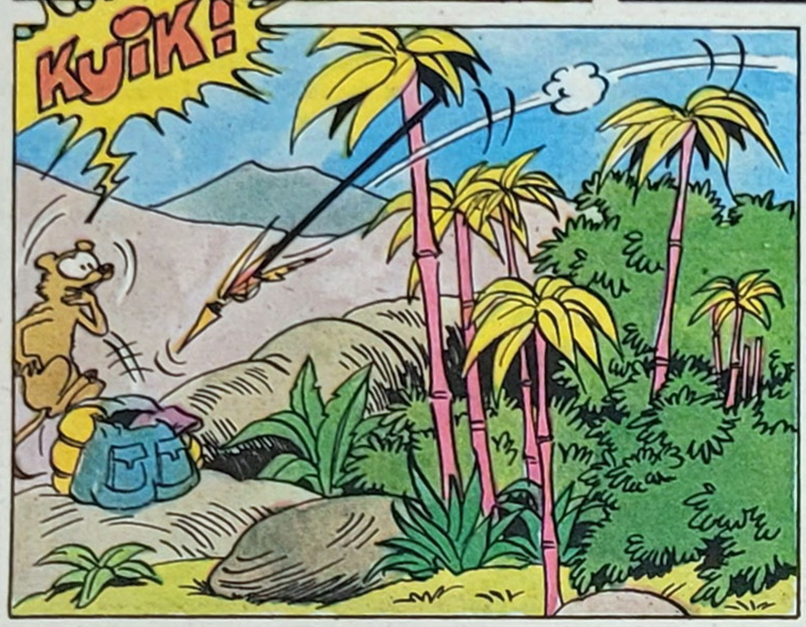

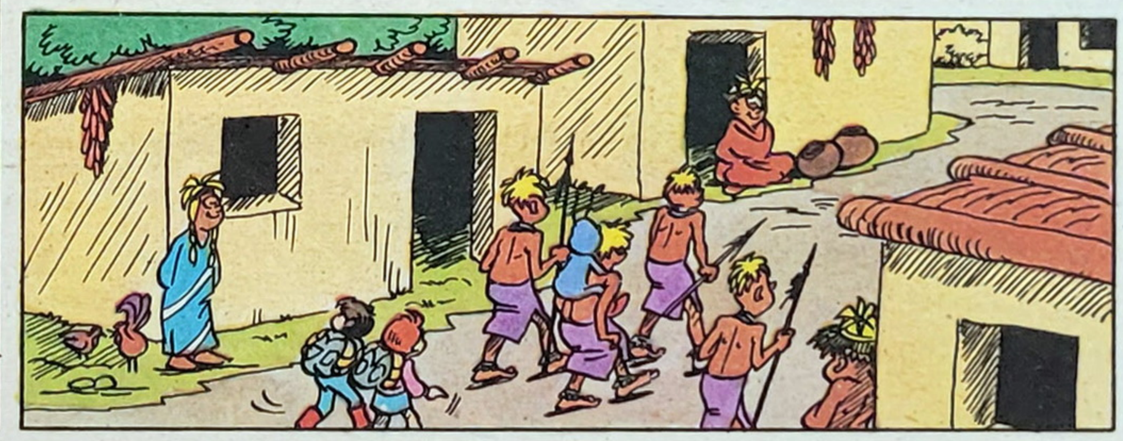

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (zastępca sekr. red.)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1473/G Z-35

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Źródło błędów politycznych: myśleć tylko o własnych interesach i tylko o chwili obecnej.

Dobry lekarz to ten, który ma właściwe środki przeciwko chorobie, a jeśli ich nie ma – pozwala przynajmniej leczyć pacjenta innym, którzy je mają.

Jean de la Bruyere

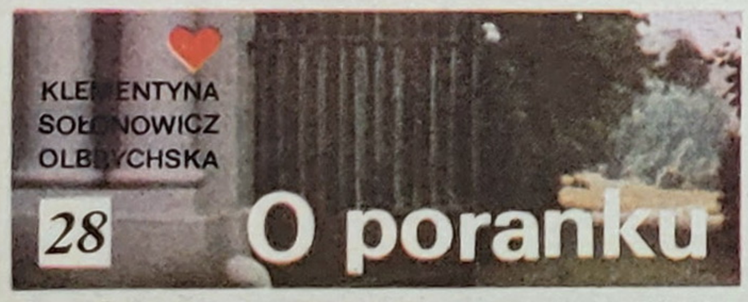

Z pieśni znała słowo „wolność". Było ważne i najważniejsze. Z pieśni wiedziała, jakim nieszczęściem jest dla ojczyzny niewola.

Teraz wolność dotyczyła kota, a przecież nie kto inny tylko mama, dowiedziawszy się o awansie, powiedziała.

– Teraz będziesz wolny na swoim folwarku.

Zuzka zaraz zapytała, czy ojciec Podłęż kupił. Wprawdzie dowiedziała się, że nie kupił, ale nie była na tyle ograniczona, żeby nie wiedzieć, że ojciec będzie się rządził na folwarku z prawdziwą swobodą.

Z radością i zaciekawieniem pomyślała o Podłężu.

Wzięła siostrę za rękę.

– Przestań się mazać. Czekają nas ważne sprawy.

– Kot nieważny, chcesz powiedzieć?

– Jakiś kotek znajdzie się w Podłężu.

– A tego zagryzą dzikie koty!

– Tak się zrobiło, że wyszło na dobre.

– Komu?

– Powiem ci. Ten kot na pewno chciał wrócić do domu, do Oronnego.

– Wróci, myślisz?

– Koty lubią swoje miejsce i potrafią znaleźć drogę.

– Wróci?

– Wytrzyj nos, nie masz nic więcej do roboty.

PODŁĘŻ

Dom nie był duży, ale ładny, ocieniony krzewami i dzikim winem, które zarosło werandę. I samodzielny, przeznaczony wyłącznie dla administratora i jego rodziny.

Ludzie stali przy wejściu, przygotowali się do powitania. Mężczyźni zdjęli czapki, a jeden z nich, karbowy, poprowadził ojca do środka. Tam pokazywał pokoje, zacząwszy od gabinetu – kancelarii. Wszystkie były czyste i puste, jeśli nie liczyć telefonu, zawieszonego na ścianie owej kancelarii przeznaczonej do pracy.

Zuzka z miejsca oceniła niekorzystne umieszczenie telefonu. By się nim posłużyć, musiałaby stawać na krześle, albo przynajmniej na stołeczku.

Jakoś będzie – pomyślała. Nie zamierzała rezygnować z rozmów z Aliną, dopóki nie przypomniała sobie, że w jej domu telefonu nie było. – Można by było zadzwonić do Zarządu, żeby zawołali Alinę, ale jaka to rozmowa, gdy pracownicy siedzą dookoła i wyciągają uszy, a w ogóle nie wiadomo, czy by się ruszyli, żeby kogoś przywołać.

– Widziałaś, ile?! – wołała Gabrysia, która obiegła już wszystkie pokoje.

– Dużo do sprzątania, a Różki nie ma. Czy nas nie wezmą do galopu?

– Pan karbowy powiedział, że jego córka Ulinka będzie do pomocy.

– Widziałaś?

– ... że umie sprzątać i dojrzeć dzieci. Kogo miałam widzieć?

– No tę... Ulinkę.

– Stoi, patrz!

– Nas ma doglądać?! Świat się kończy. Skrzat ma pilnować człowieka!

– Jak byś zapomniała, że mamy Krystynę.

Ulinka właśnie umieściła małą w fotelu. Krysia grymasiła. Sypiała jeszcze w południe, a tego dnia wszystko było inaczej. Natrudziła się opiekunka, by ją uspokoić i zabawić.

Zuzanna wyszła z domu. Rozpakowywano rzeczy, hałasowano, nikt nie miał nic sensownego do powiedzenia.

Tunelem uliczki obrzeżonej drzewami pobiegła do sadu. Drzewa owocowe, wielkie drzewa. Skusiło ją jedno, najwyższe.

Dokończenie na str. 7